TRYBUNA

KRAKÓW, 15 LUTEGO 1907. NR. 8.

KRAKÓW, 15 LUTEGO 1907. NR. 8.

TRYBUNA

WYCHODZI 1 i 15 KAŻDEGO MIESIĄCA

TREŚĆ:

Z. Bronisławski: Krew bratnia.
Marya Markowska: Hipolit Kopiś.
K. Frech: Przesilenie w przemyśle metalurgicznym.
M. Szarota: Psyche czwartego stanu.
A. T-r.: Karnawał łódzki.
A. Stefanowski: Ratusz Warszawski.
Konrad T.: Reakcya, opozycya, rewolucya.
A. Kroński: Rozłam w P. P. S. a robotnicy.
Petersburszczanin: Z życia rosyjskiego.
Via: Wieści z Zaboru Pruskiego.
Fejleton zbiorowy: Echa. Sprawozdania.

Warunki prenumeraty na ostatniej stronie.

Adres Redakcyi i Administracyi: Kraków, Retoryka 12.

Cras. 3690/1907/8.

Z. Bronisławski.

„Krew bratnia".

Walki partyjne, rozgrywające się dziś na terenie Królestwa Polskiego, są dla współczesnych zjawiskiem zupełnie nowem. W ciągu kilku ostatnich dziesięcioleci wszelka praca polityczna, szukając ujścia w podziemiach, z samej natury rzeczy musiała unikać przejawiania się nazewnątrz. Głąb społeczna wrzała, lecz warunki konspiracyi nie dozwalały na zetknięcie się wrogich sobie obozów, zmuszały je poniekąd do zawieszenia broni.

Właściwą erę walk partyjnych w Królestwie, rozpoczynają dopiero tak zw. dni wolnościowe. Manifest z d. 30 października był niejako sygnałem, na którego widok wystąpiły na światło dzienne wszystkie zorganizowane w mrokach konspiracyi siły społeczne. Siły te wystąpiły w szyku bojowym i odrazu zwarły się ze sobą. Nagromadzone w ciągu lat długich namiętności, bóle, krzywdy i pragnienia poczęły wyładowywać się bezwzględnie, z całą mocą żywiołu, który zdruzgotał tamy i znalazł nareszcie ujście.

Stojące poza obrębem wszelkich działań konspiracyjnych społeczeństwo polskie, niemogące się zróżniczkować z powodu ciążących na niem kajdan, ujrzało niespodzianie dwa przeciwne sobie krańce: z jednej strony wystąpiła w emblematach „narodowych" reakcya, z drugiej — socyalizm. Walka tych dwóch odłamów społecznych już od pierwszej chwili zapowiedziała się groźnie. Kiedy w obozie narodowo-demokratycznym krzyknięto: „Polska — to my", na drugim krańcu jeden z odłamów socyalistycznych odpowiedział na prowokacyę tego rodzaju: „Precz z Polską"! Oczywiście nie myślimy usprawiedliwiać wybryku socyalnych demokratów. Jeżeli identyfikowanie się n. d-cyi z Polską było nietylko prowokacyą, ale zarazem i nonsensem, to odpowiedź s. d-cyi była nonsensem podwójnym, godziła się bowiem niejako na taką „reprezentacyę" Polski. Był to zresztą epizod drobny, podrzędny, niemniej przeto charakterystyczny, bo odrazu ukazywał oczom przepaść antagonizmów partyjnych. Od tej chwili walka partyjna w Królestwie Polskiem przybiera formy coraz ostrzejsze, od tej chwili wzmaga się bowiem działalność prowokacyjna n. d-cyi i rośnie oburzenie mas. W miarę tego, jak n. d-cya coraz bardziej zbliżała się do rządu, coraz silniej manifestowała swą nienawiść względem rzesz pracujących, w miarę tego w obozie socyalistycznym odzywało się coraz większe oburzenie i gniew proletaryatu wzbierał.

Utarczki, rozpoczęte w prasie i na zebraniach kończyły się na ulicy. Z obu stron padały trupy, ale zabójstwa spowodowane zaciekłością stronniczą, miały początkowo charakter sporadyczny. Powoli wszakże zabójstwa te stawały się coraz częstsze, a w ostatnich czasach istna orgia mordu rozszalała w Łodzi. Nie pomogły uchwały zbiorowe poszczególnych organizacyj: krew robotników leje się bezustannie. Od jakichś kul tajemniczych padają codziennie socyaliści, zwłaszcza dzielniejsze pośród nich jednostki, cieszące się wpływem i popularnością.

Czem wytłumaczyć tę rzeź? Jakie są jej przyczyny?

Do niedawna prasa burżuazyjna winę za krew tak hojnie przelewaną całkowicie kładła na odpowiedzialność partyj socyalistycznych. Terror, stosowany względem najbardziej znienawidzonych przedstawicieli władzy carskiej, napady zbrojne na placówki rządowe, tworzenie organizacyj bojowych, wszystko to miało przyczyniać się do zaniku poczucia etycznego i znieprawiania mas. Walka rewolucyjna — twierdzono — rozpętała bandytyzm, roznamiętniła masy i wskazała im brauning, jako jedyny środek, rozstrzygający wszelkie wątpliwości. Jednocześnie ta sama prasa notowała dziesiątki wypadków, dowodzących, że właśnie burżuazya uciekała się pod skrzydła socyalistów, kiedy zaatakowali ją bandyci. Dość powiedzieć, że nawet fabrykanci łódzcy udawali się do organizacyi bojowej, gdy mienie lub życie ich zostało przez rzezimieszków zagrożone. Tak jest, prasa burżuazyjna niejednokrotnie zmuszona była stwierdzić, że bojowcy stali się straszni nietylko dla siepaczy cara, ale i dla wyrzutków społeczeństwa, żyjących z rozboju i grabieży.

Mimo to pismacy burżuazyjni nie przestawali ciskać gromów na obóz socyalistyczny.

Do tego potopu kalumnij i oszczerstw, któremi prasa warszawska walczyła z rewolucyą, największe i najciemniejsze strugi lały się zawsze ze szpalt organów narodowo-demokratycznych.

Aliści stała się rzecz niespodziewana.

Oto według relacyi „Ludzkości“ (Nr. 46 z d. 28 ub. m.) p. Roman Dmowski, wódz naczelny stronnictwa narodowo-demokratycznego, oświadczył publicznie na wiecu w Filharmonii warszawskiej, iż d e m o k r a c i n a r o d o w i w w a l c e z s o c y a l i z m e m z m u s z e n i b y l i p r z e l a ć k r e w b r a t n i ą.

Ta cyniczna szczerość p. Dmowskiego na baczniejszą zasługuje uwagę!

Po raz pierwszy dowiedział się świat i to dowiedział się z ust naczelnika armii nacyonalistycznej, kto przelewał krew robotniczą

na brukach miast polskich, kto ręka w rękę szedł z żołdakami carskimi i mordował socyalistów w Polsce.

Dotychczas n. d-ci z całą obłudą wypierali się swych czynów zbrodniczych, ba! zapewniali we wszystkich swoich organach, że to „tylko socyaliści mordują"! Teraz p. Roman Dmowski zerwał brutalnie zasłonę frazeologii i ogłosił publicznie, że ręce n. d-tów zbryzgane są krwią robotniczą!

Junkier polski przemówił otwarcie — i maska spadła.

A więc stronnictwo zmuszone było przelewać krew bratnią!...

A więc te walki robotników z robotnikami, te straszne walki, którym przeciwdziałały wszystkie partye socyalistyczne, a które stały się jednem z największych nieszczęść rewolucyi, te walki w oczach p. Dmowskiego były musem, wypływającym konsekwentnie z systematycznego zwalczania socyalizmu?!

Zaprawdę, nienadaremnie wołał mistrz Sienkiewicz, że „nacyonalizm polski przelewał krew na rodzimych i na wszystkich innych polach bitew, gdzie tylko chodziło wolność" i nienadaremnie Sienkiewicza oklaskiwał obóz nacyonalistyczny, przelewający na polach bitwy o wolność krew socyalistów!

Zapamiętajmy wyznanie p. Romana Dmowskiego, zapamiętajmy dobrze i skonstatujmy przy tej sposobności, że zbrojna ręka narodowych demokratów nie podniosła się ani razu w tej „walce o wolność" przeciw opryszkom carskim, że n. d-cya nie tknęła ani jednego zbója, depcącego stopą najezdniczą godność narodu, że przeciwnie, wszelki zamach na katów i oprawców moskiewskich witała bryzgami szyderstwa, wybuchem wściekłości. Dla zgrai łotrów, dla sfory nędzników czynowniczych, rządzących ziemią polską, ci „prawdziwi Polacy" nie znaleźli w swoim arsenale ani jednej kuli!...

Kiedy lud polski walczy i krew swą ofiarną niesie na ołtarz wolności, n. d-ci nie mają dla niego nic, prócz okrzyków hańby. Kiedy z ręki bohatera-rewolucyonisty ginie zbrodniarz carski, n. d-ci potępiają terror. Bo zamach na kata w rodzaju Skałłonów, Orżewskich — to zbrodnia, ale zabicie robotnika polskiego — to czyn, którym można pochlubić się publicznie!

Przeciwnicy terroru w walce z rządem, zdobyli się na terror, gdy chodziło o walkę z socyalistami, którym p. Roman Dmowski et Co. zawdzięczają możność zostania posłami do dumy w Petersburgu, tak, n. d-ci czuli się nawet zmuszeni do przelewania „krwi bratniej!...

Przypuszczać należy, że niejeden demokrata narodowy, otumaniony frazeologią nacyonalistyczną, zadygotał z oburzenia, usłyszawszy prawdę

tak ohydnie nagą, tak przechodzące wszelki cynizm przyznanie stronnictwu zbrodni, której dotychczas wypierały się obłudnie wszystkie organy nacyonalistyczne.

Dobrze zdajemy sobie sprawę, że zaciekłość, wzbudzona szowinizmem nacyonalistycznym, wciągnęła w wir walki jednostki różnych odcieni partyjnych, ale żadna partya nie usankcyonowała mordu, żadna partya nigdy i nigdzie nie powiedziała i powiedzieć nie mogła, że była zmuszona przelewać „krew bratnią", bo żadna partya jej nie przelewała, bo robotnicy socyalistyczni, jeżeli w walce z towarzyszami pracy uciekali się do broni nie w obronie swojego życia, czynili to zawsze wbrew woli i wysiłkom swych partyj.

Pan Dmowski natomiast oświadczył:

„Przeciw socyalizmowi wytężyliśmy wszystkie siły. Przyznać musimy, że w walce z socyalizmem zmuszeni byliśmy przelać krew bratnią"...*)

Jest to więc coś w rodzaju systemu. Przelewanie „krwi bratniej" jako żelazna konsekwencya wypływa z „wytężenia wszystkich sił przeciw socyalizmowi".

Oto do czego doszli narodowi demokraci, tak niedawno jeszcze na łamach „Przeglądu Wszechpolskiego", grożący rządowi carskiemu urządzeniem powstania!

Cynizm nacyonalistyczny w miarę rozluźniana się więzów konspiracyi w biały dzień wyległ na ulicę i zwolna doszło do tego, że przedstawiciel jego publicznie wyznaje, iż n. d-cya zmuszona była przelewać „krew bratnią"...

W jednem wszakże pomylił się p. Roman Dmowski!

Robotnik w Polsce morderców swoich nigdy za braci uważać nie będzie. I nie bratnią krew przelewali ci „prawdziwi Polacy", których p. Roman Dmowski reprezentuje. Nie: to była ta sama krew, która niezatartem piętnem przywarła do czarnych sumień Skałłonów, krew męczenników za sprawę wolności, krew robotników polskich!...

*) Cytata według „Ludzkości".

Marya Markowska.

Hipolit Kopiś.

. . . . . .

Rozkaz był krótki — jak dają wodzowie...
Słów nie trza wiele, kiedy serce słucha,
A zasie żołnierz ze krwi jest i z ducha,
I swoją własną wolną wolą dumny!...
Przeto spełniłem!...
Patrzę w wieko trumny...
I bez wyroku wiem, co wyrok powie...

Nić mego życia urywa się nagle...
Alem ci żalu wszelkiego daleki!
O życie bujne! życie młode!
Żagle,
Mocarnym wichrom oddane!... Powieki,
Których nie zawarł gnuśny sen niewoli,
Żeście mi źrenic nie objęły nocą!...

Hej! gdzie się żywi z upiorem szamocą,
Gdzie wichr się z wichrem zmaga,
Z piorunem piorun łamie —
Tam była moja odwaga!
Moje walczące ramię!
Bom ci jest z Walki: z niej idę i ginę...

Wam zasie wara myśleć, że sam stoję!
Bo jest nas...
Sędzie, zliczcie śmierci woje!

. . . . . .

Krótko Was żegnam w śmiertelną godzinę,
O Towarzysze!... Spełniłem...
Czerwona
Krew moja katów niech przerazi oczy,
Niech im na dusze rzuci lęk proroczy,
Że naszych czynów Moc z nami nie kona!...
Bywajcie, moi.....
Bojówka niech żyje!
Potrzykroć szczęsny, kto z tem hasłem kroczy,
Kto dziś z łańcucha umiał rozkuć szyję,
Komu się znaczy ta orężna praca
Na onej drodze, skąd się nie powraca...

O mój narodzie! znam twoje kajdany...
Znam krew, płynącą z każdej serca rany...
Łan twego życia, śmierci gradem zbity
I stratowany wrażemi kopyty...

Przetom jest żołnierz! — żołnierz Ludu, sędzie!
Ludu, co w mrokach dolę krzywdy przędzie,
Cudze i obce pany żywi sobą,
Żyje i ginie w zapomnienia ciszy
Z krwawej niedoli żałobą,
I jeszcze w grobie słyszy
Brzęki łańcucha!...
Przetom jest żołnierz — żołnierz Buntu, sędzie,
A niechaj moja śmierć żołnierską będzie:
Nie hańby stryczek — w piersi prosto kula...
Bunt!
Z wnętrza ziemi nagły wichr wybucha,
W pobladłe niebo ciska słup kurzawy,
Szałem pijany na rozstajach hula
I wszystko z sobą w tan pociąga krwawy..
Bunt!
Zasie Wolność nie jest łaski darem,
Miał jej nie będzie, kto w pokorze czeka,
Aż mu ochłapy ciśnie pański sługa...

My idziem Wolność wydrzeć!
Dusz pożarem!
Sił rozpętaniem!
Buntem!
Jako rzeka,
Gdy nad nią pryśnie lodów przemoc długa...
My — to plon męki podziemnego trudu,
Moc naszych ramion skruszy wszelkie tamy!...
Żyj n a s z a Polsko! wolna Polsko Ludu!...
A nas niech widzą, kiedy umieramy...
Iżeśmy Jutra godny, czysty siew...

Na śmierć wam, katy!
Bo jest nasz sztandar jako krew
I we krwi idzie dzień zapłaty!

K. Frech.

Przesilenie w przemyśle metalurgicznym.

Zabór rosyjski przeżywa obecnie ostre przesilenie ekonomiczne. Jest-to przyczyną owych głębokich wstrząśnień społeczno-politycznych, jakie wywołała wojna rosyjsko-japońska, będąca zapoczątkowaniem ostrej walki rewolucyjnej ludów, Rosyę zamieszkujących. Takie głębokie wstrząśnienia odbić się oczywiście musiały we wszelkich dziedzinach i we wszelkich przejawach życia społecznego, a tembardziej wywrzeć doniosły wpływ na całokształt gospodarki ekonomicznej, wywołując ostre przesilenia w przemyśle, przyczyniając się do całkowitego prawie zaniku niektórych gałęzi wytwarzania. Głównie ucierpiał na tem przemysł metalurgiczny, stanowiący jeden z najpoważniejszych działów naszego przemysłu, gdyż na ogólną wartość produkcyi w Królestwie Polskiem wynoszącą około 500 milionów rubli rocznie, na przemysł ten wypada około 135 milionów.

Wymowną ilustracyą kryzysu w przemyśle metalurgicznym są dane szczegółowe, przedstawione na konferencyi Komisyi organizacyjnej bezpartyjnych związków zawodowych *), które stwierdzają znaczne ograniczenie aż do minimum ilości dni roboczych w tygodniu i godzin pracy, a zarazem podają liczne fakty, świadczące o wydaleniu pewnej części robotników, części czasem bardzo znacznych, jak to miało miejsce w Ostrowieckich zakładach górniczych, gdzie wydalono przeszło 2000 robotników, w fabryce Huldschynsky'ego pod Sosnowcem, gdzie straciło pracę około 600 ludzi i t. d. W niektórych hutach zagaszono lub gaszą obecnie wielkie piece lub martenowskie, wogóle jesteśmy świadkami ciągłego zmniejszania produkcyi w przemyśle metalurgicznym, co oczywiście najdotkliwiej odczuwa klasa robotnicza, oddana skutkiem takiego stanu rzeczy na pastwę głodu i chłodu.

Oczywistą jest rzeczą, że przesilenie, które przeżywa obecnie całe życie gospodarcze Królestwa Polskiego, dało się odczuć tak bardzo przemysłowi metalurgicznemu dlatego, że ta gałęź przemysłu krajowego posiadała już w swoim organizmie ekonomiczno-wytwórczym pewne dosyć poważne zarodki przesileniowe. Wogóle przemysł metalurgiczny u nas zbudowany był na podstawach niezdrowych, głównie rozwinął się bowiem dzięki polityce protekcyjnej i wskutek tego okazał się kolosem na glinianych nogach, kolosem, który runąć musiał przy pierwszem silniejszem powikłaniu w życiu gospodarczem kraju.

*) Szczegółowe sprawozdanie z konferencyi odbytej w d. 25 i 26 grudnia r. 1906 podane zostało w Nr. 7 »Wiedzy«.

Bo nie polityka protekcyjna, którą niektórzy ekonomiści urzędowi w rodzaju prof. Janżuła lub ekonomiści z obozu naszej »Socyaldemokracyi« w rodzaju p. Róży Luksemburg, podnieśli do potęgi jednego z decydujących czynników rozwojowych w przemyśle, nie polityka protekcyjna jest owym cudownie działającym środkiem, który ożywia i pcha w kierunku rozwojowym życie przemysłowe. Polityka ta jest poniekąd czynnikiem, powstrzymującym rozwój przemysłowy, czynnikiem hamującym, gdyż usuwając współzawodnictwo zagraniczne, usuwa tem samem czynnik konkurencyjny, będący bodźcem do wprowadzania ulepszonych nowoczesnych metod i sposobów wytwarzania, wpływających na podniesienie współczynnika wydajności i stopnia doskonałości produktu. Prawda, że polityka protekcyjna rozszerza pole działalności dla przemysłu miejscowego, lecz z drugiej strony podwyższając wszystkie ceny w silnym stopniu, zmniejsza spożycie masowe, a więc i rynek wewnętrzny. Tymczasem zarówno prof. Janżuł jak i p. Luksemburg widzą w wysokich cłach protekcyjnych jeden z najważniejszych czynników rozwojowych przemysłu polskiego. Pierwszemu jest to potrzebne dla wykazania korzyści, jakie płyną rzekomo dla przemysłu polskiego z zagrabienia ziem polskich przez carat, drugiej zaś jest to również potrzebne dla wykazania, iż łączność państwowa z Rosyą korzyść przyniosła przemysłowi polskiemu, wobec czego nie można tej łączności zrywać.

Jednakże ogólno-państwowa, że użyję modnego obecnie wyrazu, polityka protekcyjna, która wpłynęła na rozwój naszego przemysłu metalurgicznego, na rozwój nietrwały i przejściowy, bynajmniej nie była prowadzoną w interesie przemysłu polskiego, lecz przeciwnie sfery rządowe rosyjskie prowadziły ją w interesie przemysłu rosyjskiego, chociażby ze szkodą naszego. O tem, że w swoich zamierzeniach i przedsięwzięciach, mających na celu popieranie przemysłu rosyjskiego, rząd bynajmniej nie dbał o przemysł Królestwa Polskiego, świadczy chociażby bardzo wysokie oclenie (3 kop. na pudzie) koksu hutniczego zagranicznego, mające na celu uniemożliwienie konkurencyi młodemu przemysłowi koksowemu na południu Rosyi. Nie zwracano uwagi na to, że nadzwyczaj ujemnie wpłynie to na przemysł hutniczy u nas, gdyż zamiast sprowadzać doskonały górno-śląski koks hutniczy z odległości kilkudziesięciu co najwyżej kilometrów do hut Zagłębia i Radomskiego, musimy obecnie, pomimo zmniejszenia cła do 15 kop. na pudzie, sprowadzać gorszy bez wątpienia koks południowo-rosyjski z odległości 2.500 kilometrów. Obłożenie cłem surowca w r. 1884, węgla kamiennego i koksu zmusiło największe firmy, jak Huta Bankowa, Fitzner i Gamper, Milowice i inne do założenia nowych przedsiębiorstw na południu Rosyi, gdyż oclenie to odbiło się nader ujemnie na przemyśle w Kró-

lestwie. Już z tych dwóch przykładów widzimy, że sztucznie rozwinięty z jednej strony przez usunięcie konkurencyi zagranicznej przemysł metalurgiczny z drugiej strony stale był krzywdzony przez tę samą politykę protekcyjną na rzecz przemysłu rosyjskiego. Wytworzyło to już pewne warunki niedomagania, gdyż zależność polityczna od Rosyi uniemożliwiała prowadzenie samodzielnej polityki celnej, któraby była w stanie obronić przemysł metalurgiczny od protekcyjnej, ale zarazem szkodliwej dla długotrwałego rozwoju naszego przemysłu metalurgicznego, rządowej polityki celnej.

Polityka protekcyjna, pchająca dla krótkookresowych korzyści nasz przemysł metalurgiczny na drogi nietrwałego rozwoju, nie była jedynym tylko czynnikiem chorobliwym, który w obecnym momencie dziejowych powikłań przyczynił się do ostrego przesilenia, jakie nasz przemysł wogóle, a przemysł metalurgiczny w szczególności przeżywa. Takich czynników rzekomo rozwojowych, a w gruncie rzeczy kierujących nasz przemysł z dróg rzetelnej gospodarki na tory zewnętrznej wielkości ale wewnętrznej bezładności gospodarczo-ekonomicznej, było więcej. Przedewszystkiem zaś do takich czynników szkodliwych zaliczyć trzeba oparcie całego przemysłu na podstawie rynkowej, którą p. Luksemburg podniosła do wysokości najważniejszego czynnika rozwojowego w przemyśle. Według tego rodzaju ekonomistów rynek jest tym bodźcem, który głównie do rozwoju jego się przyczynia. Tymczasem z chwilą olbrzymiego rozwoju sieci komunikacyjnej na całej kuli ziemskiej rynek przestał już być owym czynnikiem głównym dla przemysłu, jakim był w czasach dawniejszych, w czasach utrudnionego przerzucania towarów z miejsca na miejsce, kiedy wytwórcy musieli produkty swoje sprzedawać spożywcom najbliżej miejsca wytwarzania, gdyż zbywanie ich w miejscach dalszych było nadzwyczaj utrudnione z wielu, wielu względów. To też z chwilą wynalezienia maszyn parowych, zastosowania ich do celow lokomocyjnych, z chwilą znakomitego ulepszenia dróg komunikacyjnych, olbrzymich wskutek tego kosztów przewozowych, rynek znaczenie swoje jako decydujący czynnik rozwojowy utracił, a natomiast o rozkwicie przemysłu decydować zaczęły inne czynniki, głównie zaś: surowizna, węgiel i robocizna. Znakomitą takiego poglądu ilustracyą jest Belgia, kraj, obfitujący w te wszystkie dane i wskutek tego, mimo nieposiadania blizkiego rynku zbytu, mający nadzwyczaj rozwinięte życie ekonomiczne, kraj, wytwarzający kilkanaście co najmniej razy więcej, aniżeli spożywa rynek wewnętrzny i zbywający swoje produkty we wszystkich prawie krajach świata. I jeżeli rozpatrywać będziemy rozwój naszego przemysłu metalowego z tego właśnie punktu widzenia, to dojść musimy do przekonania, że przemysł metalurgiczny

u nas w porównaniu z przemysłem metalurgicznym rosyjskim o wiele biedniejszym jest w te gwarancye rozwojowe, które właśnie mają znaczenie decydujące.

Weźmy, naprzykład, pod uwagę kwestyę surowego materyału w przemyśle metalurgicznym, porównajmy jakość i ilość rudy żelaznej w najbogatszem zagłębiu południowo-rosyjskiem z rudami naszemi, dobywanemi w niektórych miejscowościach Piotrkowskiego, Radomskiego i Kieleckiego. Co do jakości, to ruda żelazna doniecka należy do najprzedniejszych gatunków, zawiera bowiem od 60 do 75% czystego żelaza, gdy tymczasem najlepsze gatunki rudy krajowej zawierają zaledwie 33 do 45% conajwyżej. Już ta różnica procentowa w zawartości rud żelaznych stanowi dla rosyjskiego przemysłu metalurgicznego przyczynę wielu udogodnień technicznych, odbija się znakomicie na kosztach produkcyi i jest jedną z przyczyn wyższości i większej trwałości przemysłu metalurgicznego w Rosyi. Ale i co do ilości wydobywanej rudy żelaznej, to Rosya o wiele wyprzedziła Królestwo Polskie. Podczas bowiem gdy w r. 1899 w Królestwie Polskiem istniało 115 kopalń rudy, w których wydobyto 28·2 miliony pudów, w Rosyi produkcya rudy wynosiła z górą 120 milionów pudów (w r. 1897). Produkcya rudy krajowej nie wystarcza nawet na potrzeby przemysłu naszego, wobec czego oraz ze względów technicznych sprowadza się w olbrzymich ilościach rudę doniecką do hut naszych. Gdy weźmiemy następnie pod uwagę kwestyę węgla i koksu hutniczego, stanowiącego jeden z najważniejszych materyałów przy produkcyi surowca w wielkich piecach hutniczych, to wtedy gdy w naszem Zagłębiu węglowem nie mamy odpowiednich gatunków węgla, któreby się nadawały do koksowania, Zagłębie donieckie obfituje we wszystkie znane w technice gatunki węgla od najprzedniejszych do najgorszych, a tem samem posiada węgiel, nadający się do suchej destylacyi w celu otrzymania koksu hutniczego. W ten sposób huty żelazne w Zagłębiu donieckiem mają na miejscu ten ważny dla produkcyi hutniczej materyał, gdy tymczasem nasze huty skutkiem braku koksu na miejscu i wysokiego oclenia koksu górnośląskiego, muszą z odległości 2·5 tysiąca kilometrów sprowadzać koks rosyjski, przez co odpowiednio podnoszą się koszta produkcyi naszego surowca żelaznego. Jest-to drugą przyczyną wyższości i trwałości przemysłu rosyjskiego nad naszym, a zarazem jest przyczyną nietrwałości rozwojowej naszego przemysłu metalowego. W ten sposób pod względem surowizny i opału, dwóch głównych czynników, stanowiących o rozwoju przemysłu, przemysł rosyjski stoi o wiele wyżej od przemysłu naszego, staje się więcej odpornym i jest więcej trwałym. Ale i pod względem trzeciego czynnika rozwojowego, mianowicie obfitości i taniości robocizny, przemysł rosyjski znajduje się

w bardziej sprzyjających warunkach, aniżeli nasz przemysł krajowy. Albowiem w Rosyi masy włościańskie emigrują do miast po pracę fabryczną wskutek braku środków do życia na wsi, co jest wynikiem całokształtu warunków ekonomicznych, składających się na t. z. kwestyę rolną w Rosyi. U nas pod tym względem warunki są lepsze, wobec czego emigracya ludności wiejskiej do miast jest względnie mniejszą, a i część jej kieruje się za granicę do Prus, Danii, Ameryki itd. Wpływa to na utrzymanie ceny robocizny na stałym, dosyć wysokim poziomie. Oczywista rzecz, że odbija się to i na kosztach produkcyi, utrudniając naszemu przemysłowi konkurowanie na rynku rosyjskim.

Te trzy czynniki rozwojowe przemysłu: surowizna, opał i robocizna, które głównie decydują o wzroście przemysłu, złożyły się na to, że przemysł metalowy, gdyż o nim specyalnie mówimy, spotkał niebezpiecznego konkurenta w przemyśle rosyjskim, który znajduje się w lepszych warunkach, a przytem ciesząc się istotnem poparciem polityki protekcyjnej, zaczyna wypychać nasze towary żelazne z rynków rosyjskich, a tem samem, przy dzisiejszych wstrząśnieniach społecznych, jest głównym powodem obecnego przesilenia ekonomicznego.

I chociaż obecny kryzys w przemyśle metalurgicznym daje się bardzo odczuć całemu życiu ekonomicznemu kraju i przyczynia się do coraz większego zubożenia klasy robotniczej, to jednak ma on dla nas to znaczenie dodatnie, że wskazuje nam przyczyny, które bezpośrednio lub pośrednio do takiego położenia ekonomicznego doprowadziły. Przedewszystkiem przesilenie obecne wykazało, że przemysł nasz metalurgiczny (stosuje się to i do całego przemysłu Królestwa Polskiego) nie opierał swego rozwoju na bogactwie i jakości tych czynników rozwojowych, które, jak wyżej wspomniałem, w obecnej fazie rozwoju ekonomicznego i technicznego przemysłu mają znaczenie decydujące. Byt tego przemysłu opierał się na rynku zewnętrznym o istocie bardzo zmiennej, uzależnionej od urodzajów lub nieurodzajów w rdzennej Rosyi, na zaborczej polityce carskiej Rosyi (która starała się zdobywać odległe rynki wschodnie, aby przy pomocy całego szeregu protekcyjno-rabunkowych środków usunąć konkurencyę zagraniczną, jak to miało miejsce w Mandżuryi i in.) na zamówieniach rządowych, które przecież z tych lub innych licznych względów musiały się zakończyć. To też gdy nadeszły lata peryodycznych nieurodzajów, gdy Japończycy zagarnęli rynki wschodnie, a bankructwo finansowe rządu zakończyło okres jego zamówień, nasz przemysł metalurgiczny znalazł się w niezwykle ciężkich warunkach.

Ażeby podnieść go z tego upadku i pchnąć na tory prawdziwego, trwałego rozwoju, potrzeba przedewszystkiem wyzyskać w zupełności i rozszerzyć rynek wewnętrzny, potrzeba zaprowadzić cały szereg

reform społecznych i politycznych, mogących podnieść jego zdolność spożywczą. Przytem przemysł nasz musi korzystać z tej troskliwej opieki, którą mu zapewni tylko nasza samodzielna gospodarka ekonomiczna, będąca wypływem naszej samodzielności prawno-państwowej. W tych dwóch właśnie punktach mieści się wskazanie dla rozwoju przemysłu polskiego: rozszerzony rynek wewnętrzny, obejmujący wszystkie dzielnice Polski, tworzące jedną całość prawno-państwową i samodzielna gospodarka ekonomiczna, będąca wynikiem tej samodzielności Polski, pchną dopiero nasz przemysł na drogi prawdziwego i trwałego rozwoju.

M. Szarota.

Psyche czwartego stanu.

(Z okazyi ostatniej pracy Wernera Sombarta).

Straszliwy proces tworzenia się nowych światów, proces, co zaznaczył swą drogę kupami powalonych ciał, zwichniętych egzystencyj, powykręcanych kurczowym bólem twarzy ludzkich, proces, którego narodzinom i pierwszym okresom towarzyszyły złowrogie okrzyki napędzanych do olbrzymich warsztatów mas roboczego ludu i chrzęst łamanych przezeń w wielkiej rozpaczy maszyn fabrycznych — proces ten dokonał się już niemal w całej pełni. Raczej do kataklizmu, co piorunem spadł na ziemię, niż do jakiejś koniecznej, spokojnej i logicznej fazy ewolucyi dziejowej podobny jest ten przełom w historyi gospodarczej cywilizowanej ludzkości. My, którzy tylko wstecz się obrócić potrafimy i z perspektywy czasów spojrzeć na spełnioną ewolucyę, poprostu chwilami pojąć nie możemy, że coś podobnego stać się mogło i w tak krótkim stosunkowo czasie.

Ze skleconych misternie tkanek średniowiecza cechowego nieledwie tu i owdzie tylko jakiś nikły pozostał ślad. Suchotniczy wiedzie żywot, a ci, co na podminowanych placówkach pozostali dzisiaj jeszcze, trwożnie rozglądają się w okół i z zamierającem sercem pytają się codzień, azaliż prędko nastanie ta chwila, kiedy i ich zmiecie z oblicza świata nowy pan i władca, codzień potężniejący, codzień potworniejsze przybierający kształty — współczesny kapitał przemysłowy.

Kogo swą siłą brutalną powalił o ziemię lub mamiącemi obietnicami przyciągnął ku sobie a jak automat wprzągł potem do swego rydwanu — wiemy. Zrujnowany, wyparty ze swych posad majster cechowy, nie mający żadnej więcej nadziei wybicia się czeladnik rękodzielniczy, chłop, co przed pańszczyzną uchodził do miasta i szukał zarobku—oto pierwsze ofiary torujących sobie na przełaj drogę kapitałów fabrycznych. Ale tu trzeba było mas, mas milionowych, mas bezbarwnych, olbrzymich

stad ludzkich, bo bujne swe życie rozpoczynający kapitalizm, nie mógł zatrzymać się w pół drogi i więdnąć dla braku trzód ludzkich. Rozpoczyna się przypływ siły roboczej; fala za falą ciągnie ku brzegowi; jak jeden wielki korowód, bez końca, bez kresu, suną ku rozwijającym się centrom życia przemysłowego tłumy ludu roboczego, a kto się raz dostał w wężowe sploty fabryk wielkomiejskich, nieubłagane fatum wypisywało mu na czole dantejskie *lasciate*.

Za dorosłymi mężczyznami pospieszyły rodziny. O, bo kapitalizm— to władca miłościwy. Dobrotliwie wyciągnął rękę do żon robotniczych i do robotniczego drobiazgu. Wszak żony niepotrzebnie pozostają w domu i drogi czas mogą łatwo zmarnować. A dzieci? Co z nich wyrośnie, gdy bez opieki, zdala od rodziców wałęsać się będą bez celu. I dla nich znajdzie się miejsce. Nawet najmniejsze, z trudem stawiające pierwsze kroki, nie pozostanie bez użytku w kopalniach lub tkackich warsztatach. Sprowadźcie wszystko, co żyło z wami — wszystkich uszczęśliwimy. I oto trzy i czterolatki zaczynają pracować. Czy to możliwe? Weźmy do ręki rządowe raporty angielskie z początku XIX wieku, przyjrzyjmy się tym ankietom i statystycznym wykazom. To już nie statystyczne dane o przypływie i odpływie sił roboczych, to istne spisy najkrwawszych hekatomb, co kiedykolwiek złożyła ludzkość w ofierze z siebie łaknącym krwi bóstwom, to nowa, ale krwawsza jeszcze od biblijnej, bo całe dziesiątki lat ciągnąca się rzeź niewiniątek, której wtedy tylko tamę położyła spotwarzona ludzkość, kiedy zagroziła jej degeneracya i ostatni szczebel upodlenia.

* * *

W kilku plastycznych, a boleśnie ostrych obrazach, odtwarzających rozmaite strony bytu proletaryusza współczesnego, obrazach, powiązanych między sobą szarą nicią głuchej monotonności i ciężkiego przytępienia, a owianych tak straszliwie duszną atmosferą, że ażby się chciało krzyknąć nieraz z nostalgią za powietrzem i słońcem, w obrazach, przypominających bolesną swą monotonią ów verhaerenowski wiersz o deszczu jesiennym, pokrywającym wszystko swą lekką, ledwie dostrzegalną, a jednak tak gęstą zasłoną, wiersz, który jako *leitmotiv* może służyć życiu robotniczemu, — w takich właśnie obrazach maluje nam najgorętszy przyjaciel czwartego stanu wśród mieszczańskich pisarzy — Werner Sombart — życie robotnika dzisiejszej doby *).

---

*) Werner Sombart. Das Proletariat. Bilder und Studien. W zbiorze socyalno-psychologicznych monografii p. t. »Gesellschaft« wyd. przez d-ra Marcina Bubera. Frankfurt n. M. Rütten w Loening.

Świt. Po cichych, w półmroku spoczywających jeszcze ulicach miasta rozlega się głuchy odgłos ciężko, powoli, jakby z niechęcią posuwających się kroków. Pojedyńczo, lub w niewielkich grupach, ze zmęczonemi już twarzami, z oczami przymglonemi jeszcze sennością sunie do fabryk olbrzymia część ludności. Żadna myśl przyjemna nie ciągnie dziś tych ludzi do miejsca pracy, nie czeka na nich żadne umiłowane zajęcie, obcą i anonimową jest ich praca i nie związane jest ich imię i zysk osobisty z dobrocią wytworów, rękoma ich dostarczonych. Zerwany jest z ich pracy ten ostatni blask poezyi, którym przez wieki całe otoczony był trud rękodzielniczy, a pozostało tylko bezduszne, automatyczne a niezmiernie nużące zajęcie, pozostał ciężki i gniotący mus, trzeźwa konieczność zarobku, aby nie dać się zbliżyć widmu głodu, nie znikającemu ani na chwilę z horyzontu dzisiejszego wytwórcy. I wie on, że praca ta pomimo wszystkich wytężeń i całego znoju, którym ją okupuje, nie da jemu, ani jego najbliższym zaspokojenia nawet najskromniejszych pragnień życiowych i dlatego wydaje mu się ona podwójnie ciężką, podwójnie beznadziejną, podwójnie nienawistną.

Gwizd obiadowy. Sale przesycone turkotem maszyn i przepojone wyziewami tysiąca ludzi otwierają swoje paszcze, aby wyrzucić na ulice, na brudne zakurzone podwórza tłumy zmęczonego kilkugodzinną pracą ludu roboczego. Tu i owdzie, u węgłów domów czekają żony robotnicze i dzieci. To żony i dzieci tych, którzy zbyt daleko mają do domów. W koszyczkach i zawiniątkach trochę dymiącej się strawy, gleń chleba i nieokreślonego koloru »kawa«. To najtańszy z napojów i pobudza zasypiającą energię nerwów, daje bodźca do nowej pracy. Ale na twarzach ojców i mężów nie zabłyśnie nigdy prawie uśmiech dobrotliwy, pogodny na przywitanie najbliższych. Zbyt są zmęczeni, ażeby módz reagować na takie pobudki, zbyt są głodni, ażeby stracić chwilę drogiego czasu w trakcie spożywania stygnącego szybko obiadu. Milcząco wchłaniają w siebie marną jakościowo, wcale nie wystarczającą strawę i dopiero po zniknięciu jej, zdobywają się na przemówienie kilku skąpych słów. A potem, jeżeli warunki na to pozwalają, największą rozkoszą wydaje się być półgodziny drzemki pod gołem niebem, na kupie piasku, albo wprost na twardych kamieniach podwórza lub chodnika. A potem, jeszcze podczas majaczenia tej graniczącej z omdleniem drzemki, ostry gwizd, przenikający aż do szpiku kości i — znowu praca, praca aż do późnego wieczora.

Powrót do domów. Mała, niska, zakopcona izba, na poddaszu lub wilgotnych suterynach, po której rozlega się piskliwy dyszkant kilkorga dzieci i uspakajający a nieraz wrzaskliwy głos matki. Atmosfera tak duszna, że przychodzącemu z zewnątrz wydaje się niemożliwem tu ist-

nieć, bo jeżeli to zima, to przez oszczędność ciepła, okna nigdy nie bywają otwierane, a jeżeli znów lato, to z ciasnego, zaśmieconego podwórza wchodzą zaduchy, będące sumą wyziewów, ulatujących przez otwarte okna dziesiątków podobnych legowisk w tej samej kamienicy. Ale robotnik jest tak zmęczony, że często wprost już sobie nie zdaje sprawy ze szczegółów otoczenia swego, kładzie się ono tylko ciężką obręczą na jego niewymownie zmordowaną duszę. A potem wspólne spożycie wieczornego jadła, kilka zdawkowych zdań, rzucanych od czasu do czasu, wreszcie knajpa, jako jedyne miejsce ucieczki od tej gehenny całodziennej, gdzie za tanie pieniądze można znaleźć trochę światła i przestrzeni, gdzie przy kuflu piwa można zapomnieć na chwilę o męce życia codziennego, — albo odrazu spoczynek, sen zbliżony do letargu, sen bez snów, bez żadnej przyjemności, sen, mający jedynie na celu dostarczanie tej najniezbędniejszej ilości sił, ażeby módz się nazajutrz zaprządz znów do rydwanu kapitalizmu i toczyć go naprzód po nowe zdobycze.

Oto dzień przeciętnego robotnika fabrycznego...

I czemże jest właściwie to życie proletaryusza, to życie, które kapitalizmowi zawdzięcza? Jakie są cechy, które zatracił przez zanik dawnej gospodarki, a które były krasą jego istnienia, a jakie są zdobycze, które wywalczył sobie na miejsce tych ostatnich?

Pierwszy punkt zajmują u Sombarta węzły z ziemią rodzinną. Pędzony potrzebą zarobkowania, nigdzie nie mógł się oswoić robotnik dzisiejszy, gdzie mógł sprzedać swą siłę roboczą. Stracił on przez to nietylko miłość dla kawałka gruntu, zamieszkiwanego przez ojców i praojców, ale stracił tę wspólnotę, łączącą mieszkańców drobnych gmin zarówno wiejskich jak miejskich, stracił opiekę i zainteresowanie się, któremi otaczają się wzajemnie gminniacy i zamienił to wszystko na bezbarwne, przygniatające swą ciasnotą ulice przedmiejskie i obojętność współmieszkańców tej samej kamienicy. Dom, który mógł zwać swoim własnym, zamienił na okopconą izbę w olbrzymich koszarach miejskich, gdzie sto razy dziennie najprostsze zasady dyskretności są gwałcone przez zaglądanie sobie do okien i żołądków i przez cienkie, źle, po tandeciarsku zbudowane ściany, przez które słychać najdrobniejszy szmer, na izbę, do której słońce nie zagląda częstokroć nigdy i z której nie widać już tych wielkich szmatów nieba, tylko wąskie jego skrawki po przez ciasne uliczki i las kominów, gdzie wreszcie niema miejsca na najskromniejszą poezyę, taką choćby, co się ujawnia w kilku doniczkach kwiatów na oknie.

A rodzina? Czyż może się ona rozwijać w tak haniebnych warunkach? Czyż można tutaj hodować delikatne kwiaty pożycia małżeńskiego i miłości rodzicielskiej? Dzieci nie mające dość przestrzeni w domu pę-

dzą na ulicę. Mieszczańskie dziecko, o ile już wychodzi z domu, pozostaje przynajmniej na tem samem podwórzu, — tu się bawi. A proletaryackie? To »jak liść poruszany wiatrem i pędzony co moment na stosy podobnych liści« łączy się z gromadkami dzieci swego stanu, to znów się od nich oddziela i do innych gromad przystaje i tak z podwórza na podwórze, z ulicy na ulicę przebiega co chwila, bez troski o swój własny dom, a wieczorem, zziajane, zdyszane, brudne i okaleczone wraca, ażeby złożyć głowę na rodzinnym barłogu i módz nazajutrz, skoro tylko świt, rozpocząć tę samą zabawę. W domu zresztą nie miałyby odpowiedniego nadzoru, bo i matka, nie mogąc już jak dawniej przyczyniać się osobistą pracą do domowej produkcyi, którą do szczytu wyparła gospodarka kapitalistyczna, zmuszona jest bardzo często jako zwykła najmitka pracę swą na rynek sił roboczych wynosić i znalazłszy zarobek spędzać po za domem cały dzień jak i ojciec rodziny.

A teraz zawód. Gdzie znikło owo zamiłowanie do swego zajęcia, owa solidarność fachowa i duma, owa specyalna duma dawnych cechowych wytwórców? Gdzie się podziało owo specyficzne pojęcie honoru, łączące wspólnym silnym węzłem wszystkich uprawiających to samo rzemiosło i przechodzące z pokolenia w pokolenie? Gdzie wreszcie znikło to piękne ongi poszanowanie dla starszych i doświadczeńszych, owo dziecięce, a jednak tak naiwnie ładne zaufanie dla »mądrości« mistrza ze strony czeladników i uczniów? Znikło bezpowrotnie pod żelazną stopą kapitalizmu, automatyzującego, stawiającego na miejsce inicyatywy osobistej maszynę ludzką, a na miejsce doradcy i mistrza postać ordynarnego poganiacza — dozorcy, baczącego, ażeby ani jedna chwila wytchnienia nie przerwała znojnej i niewolniczej pracy. A zresztą zawód! Czyż można zwać zawodem owe tysiączne, pomocnicze zajęcia, mające ledwie dostrzegalną łączność z ostatecznym wytworem współczesnych fabryk, zajęcia zamieniane w dodatku przez częste bezrobocia na inne niemniej automatyczne, niemniej dalekie od jakiejkolwiek fachowości?

A na ostatku religia. Dawniejsza pociecha strapionych dusz, stawiająca przed ich oczy, jako wynagrodzenie za życie, pełne trosk i pracy sumiennej obraz niebiańskiego spoczynku, pogodnego a niezmiernie szczęśliwego bytowania w zaświatach, ta religia, każąca uważać każde nowe szczęście za dowód miłości bożej, powoli wykorzeniona została z serc ludzkich przez filozofię oświecenia, zrodzoną z kapitalizmu.

I tak robotnik, któremu wszystkie podstawy starej kultury usunięto z pod nóg, którego duszy odebrano prawie wszystko to, czem żył przez kilkanaście wieków, ocknął się nagle wydziedziczony ze zdobyczy dawnych wieków, wydziedziczony z tych wszystkich rzeczy, które są jeszcze własnością mieszczaństwa zarówno drobnego jak bogatego i ujrzał

jasno potrzebę stworzenia sobie własnej kultury, zdrowej a silnej i będącej zastosowaną do nowych warunków bytu.

Ale potrzebę taką ujrzała jedna tylko elita z warstw robotniczych wyszła. Dużej masie zaś kapitalizm na razie przyniósł tylko przytępienie na polu moralnem i umysłowem, w którem trwa ona już całe dziesiątki lat, i przeciwko któremu skierowane są wszystkie wysiłki tej właśnie elity, pragnącej wyrwać tę masę z odrętwienia i tępości.

Jakiemi zacz są te właściwości, które się pod wpływem nowych warunków wytworzyły w tym właśnie typie robotnika z elity? Jakie nadzieje można pokładać w tej młodej kulturze, która dzisiaj zaledwie kiełkuje, jakie są kwiaty, które na młodem puszczającem pierwsze gałązki drzewie kultury czwartego stanu wyrosną, gdy ono się rozwinie, a w które dzisiaj tyle nadziej kładziemy?

I tutaj różnimy się bardzo od Sombarta. Pomimo całej gorącej sympatyi i współczucia, jakie on ma dla mas proletaryatu wielkomiejskiego, pomimo nawet pewnych przebłysków zrozumienia i odczucia rodzącego się świata, nie wychodzi on po za obręb drobnomieszczańskich ideałów i sentymentalizmu drobnomieszczańskiego i czuje, że mu nowa kultura będzie duchem swoim zupełnie obcą. Biada nad tem, co stracił robotnik, a nie potrafi docenić tego, co wygrał lub zdobył.

Krytycyzm *à outrance* i jasność myślenia — oto jedyne zdobycze, zdaniem Sombarta prawdziwe pierwsze zdobycze tych, co stanowią kwiat inteligencyi robotniczej. Drogą tą też płynie powoli szara masa proletaryatu, ale daleko jej jeszcze do tego, co już jednostki osiągnęły. Polityka nie jako środek do dalszego wyzwalania się tak, jak my ją pojmujemy, lecz jako jedyne pole, gdzie może dać ujście swym energiom psyche robotnicza, polityka—ukochane dziecię wyschniętej duszy proletaryusza, polityka cel absolutny, jedyny, ostateczny, jedyne wytchnienie po trudach dnia nużącego, oto zdaniem Sombarta główna, charakterystyczna strona dzisiejszego robotnika.

Dalej pragnienie wiedzy. Ono jednak według Sombarta jest nawskroś rozumowe. Nie ożywia go żadne gorętsze pragnienie duszy ludzkiej, zna ono swoje źródło jedynie w rozsądku, w zimnym intelekcie ludzkim, chłodno ważącym wszystkie rzeczy ze stanowiska korzyści, które z nich płyną. Nie kwiaty, zwierzęta, przyroda, dusza ludzka, — lecz botanika, zoologia, psychologia i t. d. — oto co pociąga współczesnego proletaryusza.

Werner Sombart zapomina o tych tendencyach artystycznych, rodzących się nieśmiało jeszcze, co prawda, w łonie proletaryatu, a będących właśnie wyrazem głębokiej, acz nieświadomej często tęsknoty za tem, co życie potrafi ubarwnić, za tem, co potrafi rozszerzyć skalę uczuć,

słowem, za pięknem, które przez całe dziesiątki lat było wyrywane z dusz proletaryackich.

Powrót, jeżeli nie do samych cechów, to przynajmniej do niektórych urządzeń cechowych — oto ukryte marzenia Sombarta, bezpłodne zresztą, — sam o tem wie najlepiej. Powrót do specyalnego pojęcia honoru cechowego, do dawnych łączności cechowych, do kultury zamkniętej w ciasnych szrankach minionego bytowania, do więzów rodzinnych, opartych przedewszystkiem, jeżeli nie wyłącznie na czysto ekonomicznych podstawach, bo dzisiejsza rodzina przez materyalne wyzwalanie się jej członków zatraca dawny swój charakter, ot czego by pragnął, gdyby było możliwe ziszczenie tego wszystkiego, autor naszej monografii.

Brak temu szlachetnemu lecz mieszczańskiemu pisarzowi poczucia elementarnego piękna, objawiającego się w solidarności ruchów masowych i brak mu zdolności odczucia siły, która leży w pragnieniu stworzenia uniwersalnej kultury i uniwersalnego szczęścia. Ale przedewszystkiem brak mu — i to się najbardziej odbija na jego książce, z każdej karty której tchnie i serdeczna przyjaźń dla proletaryatu i bolesne odczuwanie jego nędz — brak mu zrozumienia piękna postaci chorążych, idących na czele mas stęsknionego lepszego jutra ludu, chorążych, dzierżących wysoko w swym ręku sztandar, obryzgany krwią ludzką i łzami, a jaśniejący barwami miłości gorącej i jutrzni, zwiastującej słońce.

A. T-r.

Karnawał łódzki.

Uwagę prasy burżuazyjnej do tego stopnia przykuł karnawał i taniec koncentracyjny wokół urn wyborczych, że wypadki, rozgrywające się w Łodzi, zeszły na plan ostatni, zniknęły niemal w powodzi wrażeń, dostarczanych codziennie przez »kuryerki« i »gońce«. Zamaszyste dźwięki mazura i wrzawa wyborcza przygłuszyła całkowicie cichy jęk mas robotniczych, skazanych na powolną śmierć z głodu. Łódź się bawi. Wyższe piętra kamienic żarzą się od świateł, któremi lśnią rozbawione salony, a w mroku suteryn konają tysiące nędzarzy. Łódź się bawi. Jest to bal na cmentarzu, wykopanym przez klikę złoczyńców, taniec karnawałowy na grobach, orgia bezwstydu i znieprawienia! Jest to zarazem tło, na którem kapitał święci swój tryumf i zbrodnia w nowych, coraz jaskrawszych przedstawia się barwach.

Zanotujmy choć kilka jej najznamienniejszych przejawów!...

Inicyator zbiorowego mordu, fabrykant Poznański, którego imię jako krwawa plama na zawsze przylgnie do kart dziejów polskich, nie ugiął

się dotąd pod ciężarem swojego zbrodniczego czynu. Pozostał on niewzruszony i od warunków »kapitulacyi« ani na jotę odstąpić nie chciał.

Jakież są te warunki?

Poznański żąda przedewszystkiem, aby delegacya robotników przeprosiła »obrażonego inżyniera«, wiernego sługę potężnej bawełnianej firmy. Dalej chce on usunąć wywalczone krwią robotniczą, a uznane przez rząd carski prawo, którego mocą fabrykant, pozbawiający pracy robotników, obowiązany jest uprzedzić ich na dwa tygodnie o swojem postanowieniu. Wreszcie wymaga on jeszcze bezwarunkowego usunięcia 98 robotników, najbardziej przez zarząd fabryki znienawidzonych.

Rozpatrzmy się w tych warunkach.

Zatarg pomiędzy wzgardzonym przez ludność fabryczną inżynierem a robotnikami jest w oczach Poznańskiego dostateczną przyczyną, by pozbawić pracy kilkunastotysięczną rzeszę, by dziesiątki tysięcy dzieci skazać na wszystkie męki głodu i powolnego konania. Żąda on, aby pogwałceni w swoich uczuciach, obrażeni w godności ludzkiej robotnicy ukorzyli się wobec »pana inżyniera«, przyznali się do win niepopełnionych i schylili kark dumny przed znienawidzonym satrapą fabrycznym. Zbrodniarz, którego pamięć dziesiąte pokolenie ścigać jeszcze będzie przekleństwem, występuje w roli opiekuna moralności, zatarg prywatny przenosi w dziedzinę życia ekonomicznego, robi z niego punkt wyjścia dla swojej etyki i pojmowania obowiązków obywatelskich. Kilkotysięczna rzesza robotnicza, świadoma swojej krzywdy, ma stanąć dobrowolnie pod pręgierz, jakim jest ta zachcianka krwiożerczego fabrykanta — oto pierwszy warunek, dyktowany »niezłomną« wolą bawełnianego samodzierżca.

Niedość na tem! Zdobycze, które długoletnią ofiarną walką wywalczył lud robotniczy, nie odpowiadają lokautowemu sumieniu zbogaconego kapitalisty. Prawo rosyjskie wymaga, aby robotnik, pozbawiony pracy, uprzedzony był o tem na dwa tygodnie. Za dawnych »dobrych czasów« to prawo barbarzyńskie nie istniało w Rosyi. Robotnik oddany był całkowicie na łup wyzysku kapitalistycznego, przyszłość jego w zupełności zależała od złej woli i złego humoru fabrykanta. W każdej chwili można go było pozbawić pracy, w każdej chwili można go było wyrzucić na bruk, bez żadnych środków do życia. Przeciwko takiemu bezprawiu klasa robotnicza w całem państwie rosyjskiem niejednokrotnie podnosiła bunt, a dzielny robotnik łódzki szedł zawsze na czele, najwyżej podnosząc sztandar gniewu proletaryackiego, najdłużej dochowując wiary swoim obowiązkom. Wyzyskiwany przez pijawki łódzkie, dręczony i poniewierany, w kilkodziesięciotysięcznej masie wylegał na ulice, manifestował, strejkował, przymierał z głodu, szedł do więzienia, ginął od kul żołda-

ckich i znowu rozpoczynał swoje dzieło, znowu podnosił w górę znak buntu i nieustannie w krwi brocząc, zmusił kapitał łódzki i jego sprzymierzeńca-rząd do uznania części swoich praw ludzkich. Łódź stała się sercem ruchu robotniczego nietylko w Królestwie Polskiem, lecz w całem państwie cara. Zrozumiały to władze, zawarły sojusz z kapitałem mandarynów łódzkich, i wytężyły wszystkie swe siły, aby ujarzmić robotnika.

Wszystko nadaremnie!

Nie pomogły najsroższe środki, jakimi rozporządza kapitał i sprzymierzony z nim carat. Pochodu robotników łódzkich nie powstrzymały żadne tamy i oto zdobył on niesłychanymi wysiłkami maleńką cząstkę przynależnych praw, a między innemi i wspomniane już prawo, zapewniające mu na wypadek stracenia miejsca mizerną możność dwutygodniowej egzystencyi...

Ileż cierpień, ile nędzy, ileż krwi kosztowało wywalczenie tej drobnej ulgi, ileż kul morderczych padło, nim »prawo« to zostało zastosowane w życiu?!

Dziś kieszeń milionera nie może widocznie znieść takiego ciężaru! Módz w każdej chwili zamknąć fabrykę, módz w każdej chwili pozbawić zarobku »swoich ludzi«, nie wypłacając im ustanowionej przez prawo sumy — oto, czego domagają się Poznańscy. Wydrzeć tę maleńką zdobycz, pogrzebać ją w morzu krzywdy, zakopać na zawsze w gruzach nędzy i głodu — to drugi warunek, postawiony przez zjednoczonych zbrodniarzy łódzkich.

Dalej Poznański żąda wydalenia 98 robotników.

Przy pomocy prasy burżuazyjnej ogłosił on tych 98 robotników za złodziei, bandytów, anarchistów, bojowców, a teraz wymaga, by wyrok ten potwierdziły masy robotnicze, by własnemi rękami wskazały czyhającej władzy tych najbardziej winnych »bandytów i złodziei«!

Poznański spodziewa się zapewne, że tych ludzi, którzy po kilkadziesiąt lat strawili w jego jaskini fabrycznej (a są właśnie i tacy między nimi!) czeka zesłanie, katorga, a jeśli dobrze pójdzie, może nawet stryczek. Ale na to potrzebna jest sankcya wszystkich robotników. Więc nie zawahał się ani chwili. Krwiożerczy fabrykant nie zna kresu podłości, nie widzi granic, na których mógłby się zatrzymać!...

Wobec takiego zachowania się Poznańskiego wzdrygnęła się nawet prasa burżuazyjna. Pismacy kuryerkowi, którzy całą winę za wypadki łódzkie złożyli na karb »wichrzycieli« i »socyalistów«, nie mogli już dłużej odgrywać roli obrońców »p. Poznańskiego«. I oni zmuszeni byli stwierdzić, po czyjej stronie leży wina i oni ujrzeli może na tle lokautu łódzkiego całą otchłań życia fabrycznego, całe piekło podłości i wyzysku, jakiem się stał »polski Manchester«. Sumienie społeczne zbudziło się na

chwilę, lecz rozgwar karnawałowo-wyborczy wkrótce ukołysał je do snu. Odmowa, jaka spotkała grono pośredników, łudzących się naiwnie, że potwory łódzkie mają coś wspólnego z ludźmi, przeszła jak gdyby niepostrzeżenie. A przecież ta odmowa nie tyczyła się już »socyalistów«, a przecież ta odmowa — jak zapewnia prasa burżuazyjna — była policzkiem, wymierzonym »ogółowi polskiemu«! Do fabrykantów, ukrywających się przed gniewem zasłużonym w stolicy cara Wilhelma, udała się delegacya, złożona z przedstawicieli Towarzystwa Kultury Polskiej, udał się potem i ksiądz, i bankier, i arystokrata, ale kapitaliści łódzcy wszystkim wskazali drzwi. Tych pośredników kopnięto tak, jak się kopie natrętne szczenięta. Samodzierżcy łódzcy nie mogli się zniżyć do pertraktacyi z jakiemś tam polskiem »Kulturgesellschaft«, nie mogli upaść tak nizko, by dopuścić do interwencyi pośredników, cokolwiek i kogokolwiekby oni reprezentowali.

Więc tragedya łódzka ciągnie się dalej...

Trudno przewidywać, jaki będzie jej akt ostatni, co poczną głodzeni robotnicy, na jakie zdobędą się kroki, do czego doprowadzi zbrodniczy upór milionerów łódzkich i jakie rozmiary przybrać może klęska. To pewna, że wszystkie następstwa, jakie za sobą dalsze trwanie lokautu pociągnąć może, obarczą sumienia butnych fabrykantów i ich sojusznika: rządu carskiego.

Bo nie ulega kwestyi, że zbrodnia Poznańskich, Scheiblerów i Ski., tylko przy udziale rządu mogła być spełniona. Rząd zawsze spieszył z pomocą kapitałowi i nie opuścił go w tej »krytycznej« godzinie. Do czego doszła i tym razem czelność władz carskich, świadczy o tem fakt, że »Kuryer Łódzki«, który z powodu lokautu pozwalał sobie na jakieś uwagi, otrzymał rozkaz wyższy, by pismo natychmiast zmieniło »szkodliwy kierunek«. Jakoż »Kuryer« zmienił »szkodliwy kierunek« i słówkiem jednem o lokaucie już nie wspomina.

A oto fakt drugi niemniej charakterystyczny.

Katowski krok Poznańskiego, jak wiadomo, znalazł naśladowców. Bandyci bawełniani jeden przed drugim poczęli łączyć się z »bohaterem« Poznańskim, a pierwszy przystąpił do niego najbogatszy z kapitalistów łódzkich, Scheibler. Bez jakiegokolwiek powodu, ot tak, dla kaprysu, czy też chęci podania dłoni braterskiej koledze i on zamknął swoje fabryki i on wyrzucił na bruk tysiączne rzesze robotników, nie uprzedzając ich o tem, depcąc obowiązujące prawo. I oto jak gdyby dla ironii inspektor fabryczny w Łodzi ogłasza list urzędowy, w którym dowodzi, że Scheibler postąpił nieprawnie!

Ten list w połączeniu z groźbą, zwróconą przeciw »Kuryerowi Łódzkiemu« — to wymowna ilustracya zachowania się rządu.

— Fabrykanci postąpili nieprawnie! — woła rząd i... ściga robotników, urządza w dzielnicach robotniczych codziennie masowe rewizye, areszty, wtrąca do więzień nieszczęsne ofiary zbrodni fabrykantów!...

Głód, nędza, mróz, więzienia, wydzieranie pozbawionym środków, a zgłodniałym dzieciom głów rodziny — oto obraz lokautu łódzkiego, oto skutki sprzysiężenia się dwóch ciemnych sił, które jak klątwa zawisły nad nieszczęsnym krajem, spadły przedewszystkiem na lud pracujący, wysysają jego krew, kleszczami drapieżnymi wydzierają mu życie.

Kapitał do spółki z burżuazyjnymi rządami wszędzie krwawe pozostawiał ślady, wszędzie mścił się na klasie pracującej, ale taki zespół, taka harmonia, jaka w kontynuowaniu wyrafinowanego okrucieństwa zapanowała w Łodzi między przedstawicielami kapitału a władzami rządowemi, nawet w dziejach międzynarodowej martyrologii robotniczej należą do rzadkości.

Jakże na to wszystko reagują wierzchnie warstwy naszego społeczeństwa?

Wszędzie, gdzie doszedł głos z Łodzi, poruszyli się robotnicy. Z dalekich krajów płyną skromne składki na pomoc zgłodniałym i okradanym rzeszom łódzkim. Robotnik łódzki, jeszcze niepozbawiony pracy, po bratersku dzieli się z towarzyszami swoim zarobkiem, ograniczając swoje potrzeby, tłumiąc głód własny zadowoleniem ze spełnionego obowiązku.

A wierzchnie warstwy?

Zapatrzone w wizyę dumy petersburskiej, oszołomione rozgwarem wyborczym, podniecone kończącym się karnawałem, przyjęły w milczeniu policzek, wymierzony im w Berlinie przez zgrają opryszków kapitalistycznych i nie dostrzegają tragedyi, rozgrywającej się w kraju. Tymczasem wychodzący w Berlinie »Konfektionär« ogłosił światu, że sześć największych przędzalni łódzkich, a między niemi oczywiście firmy »I. K. Poznański« i »Karol Scheibler« utworzyły coś w rodzaju trustu z kapitałem zakładowym, wynoszącym 200 milionów marek. Trust naturalnie ma walczyć z robotnikami w Polsce. To jego pierwsze zadanie... 200 milionów! Kapitał potężny, suma, za której najmarniejsze ochłapy stupajki łódzkie z całą gorliwością wypełnią swój obowiązek bandycki. 200 milionów na walkę z robotniczą Łodzią!

200 milionów!

Mróz, głód, nędza, więzienia, kule, nahajki, nożownictwo i 200 milionów stają do boju śmiertelnego z armią nędzarzy, których jedynym orężem jest wiara w wielkość bronionej sprawy. 200 milionów wyasygnowali rozbójnicy łódzcy w stolicy Wilhelma na zgubę proletaryatu polskiego!

200 milionów!!...

I cóż na to serce Polski, Warszawa? cóż na to samozwańczy »przedstawiciele narodu«?! Ach, wiją się oni w podrygach wyborczych, walczą o krzesła w pseudo-parlamencie rosyjskim, używają karnawału, ba! nawet w Łodzi rznie muzyka i suną roztańcowane pary. Tak jest, nawet Łódź się bawi... I nic dziwnego... Przecież to karnawał...

A. Stefanowski.

Ratusz Warszawski.

Są rzeczy straszne, okropne, które u nas się stały sprawami codziennemi, chlebem powszednim; tak do nich przywykliśmy, że one nas nie rażą, że się o nich mówi, jako o czemś, co jest prawie naturalnem. Są one tylko kółkiem mechanizmu ogólnego — nic więcej. Czasem jakiś dziennik zanotuje pewną w nich zmianę, czasem jęk głośniejszy przekradnie się przez milczące mury... A jednak krwawe to pokłosie, przerażająca „konieczność". Zawcześnie na obrazowanie martyrologii naszej, więc tylko parę wspomnień osobistych, a więcej jeszcze wspomnień towarzyszy, co całe to piekło więzień przebyli, chcę tutaj opowiedzieć...

Początek zwykły. Nocą z mieszkania coraz rzadziej „biorą". Zazwyczaj... ot, siedzi parę lub więcej osób w pokoju, czasami nawet są między niemi ludzie od wszelkiej rewolucyi, jak od zarazy, się otrząsający... Rozmawiają... Raptem drzwi pod silnym naporem wylatują. Na środek niewielkiego pokoju wpada jakiś pan w czapce na głowie, palec prawej ręki wysuwa i, wiercąc się w koło, ryczy: „ruki w wierch — nie ruszać się". Obecni — głupieją — kpiny czy co? — chyba nie. Ktoś twierdzi raptem, że to nie palec wysunięty, lecz browning. Bardzo być może. Po chwili wchodzi, nie śpiesząc się, sporo żołnierzy i zwolna, już zupełnie powoli, — jeden rewirowy za drugim. Robi się piekło. Po rewizyi dopiero wsuwa się — pan komisarz. I — marsz do cyrkułu...

Dzień, a więc w cyrkule ruch... To przyprowadzą chłopaka z gazetami, i, wydzieliwszy mu należną porcyę kułaków, wpychają za kratę... to znowu jakiegoś jegomościa, któremu z kieszeni wyglądał numer gazety, i t. d. Gości tych segregują: „porządniejszych" zostawiają przed kratą, czasem nawet „diżurnyj okołotocznyj" krzesło poda, „hołotę" wpychają za kratę. Oj, kraty, te kraty! Na człowieka, który je po raz pierwszy widzi, wywierają one wrażenie — powiększonej o wiele klatki. Jest to krata, a właściwie szereg grubych drążków spłaszczonych, idących od góry do ziemi.

Monotonię czekania urozmaica pewne intermezzo. Policyanci, sie-

dzący w sąsiednim pokoju, coś zobaczyli, uśmiechnęli się; jeden z nich do rewirowego, który z powagą drzemał za stołem, zawołał: „wiedut-s". Usłyszeliśmy jakby płacz dziecka. I prędko paru stójkowych wciągnęło do izby, w której „czekałem", jakiegoś chłopaka. Miał lat może czternaście. Żyd. Po twarzy spływały mu łzy, oczyma błędnie wkoło prowadził.

— Ja nic, ja nic — nie bij pan, to igruszki...

— Ach ty bojowiec proklatyj! — i wielki drab z całej siły uderza chłopaka pięścią w twarz... Żołnierze stanęli w drzwiach jak słupy. Wielkie martwe posągi. Jeden tylko nieco oczy odwrócił. Policyanci podnieśli chłopaka z ziemi i postawili go na nogi. Dzieciak bełkotał coś w żargonie, po polsku — rosyjsku, całował policyantów po rękach, spazmował, nic — jeden go za kark trzymał, a drugi walił pięścią. Odwróciłem się i wlepiłem oczy w kratę. Wszyscy „goście" drżeli. Jakiś starzec ukląkł i zaczął półgłosem odmawiać pacierz.

— Małczi, starik, a to...

I „starik" zamilkł...

Napróżno zatkałem uszy. Jęk katowanego właził, wdrapywał się, przenikał do głębi. I trwała ta chwila przerażająco długo. — Nagle uciszyło się.

Odwróciłem oczy. Chłopak leżał na podłodze, już tylko cicho jęcząc. Policyanci odeszli do stołu i uważnie oglądali — pistolet, odebrany chłopakowi. „Wot orużje", i jeden wystrzelił w powietrze, a chór zaśmiał się... Chłopak leżał w kałuży krwi. — „Izdoch" „Pasmotrim". I jeden ze stójkowych podniósł szablę i z całej siły uderzył końcem jej chłopaka w brzuch. Ten zawył. „Ot, widisz, nie izdoch — i zaśmiał się, lecz śmiał się już tylko on jeden. Podniósł chłopaka i wrzucił za kratę. W tej chwili wszedł komisarz. „Panie — doktora — zabili". Popatrzał na mnie zimnym wzrokiem. Był to Konstantinow, chłop wielki, przystojny:

— Eto nie wasze dieło...

Tymczasem zrobiło się ciemno. Wkrótce poprowadzili nas do ratusza. Nie siedziałem dotąd w ratuszu warszawskim, na opowiadanie towarzyszy nie wiele zwracałem uwagi. Jak tylko otworzono drzwi, odrazu buchnął jakiś straszny odór. Większość zaprowadzono na pierwsze piętro — spotkany na korytarzu zaspany klucznik zafrasował się „gdzie ja tu panów pomieszczę — chyba wśród złodziei". Źle. Przypomniało mi się od razu opowiadanie jednego towarzysza, którego kryminaliści ułożyli na podłodze i z butami skakali nań z nar. Przypomniałem sobie, że ustrój kapitalistyczny jeszcze nie został zburzony, i czterdzieści kopiejek — to też pieniądz.

— Są to bardzo porządni ludzie — stróże, tam panu będzie dobrze. Otworzył drzwi i wszedłem...

Było to już późno. „Kamera“ owa była dość duża. Nad drzwiami w dziurze na wylot zrobionej w ścianie stała latarnia, odgrodzona kratką. Światło jej nie wiele rozpraszało ciemność. Rzucała jakieś fantastyczne okratowanie na sufit. Stałem przy drzwiach. Oczy przywykły do ciemności — i począłem się rozglądać. Pod ścianami stały nary. A na nich w różnych postaciach spali ludzie. W pół-ciemności widziałem tylko poszczególne członki ludzkie, jakby porozrzucane w jakimś okropnym spazmie. Wzdrygnąłem się, lęk mnie jakiś obleciał. Tu głowa z rozwartemi ustami, potarganym włosem, wyschłymi policzkami, na niej ręka groźnie w kułak zaciśnięta. To znowu nogi... Leżeli jeden prawie na drugim. Ktoś począł w kącie jęczeć. Jęczał powoli, urywanie. Stałem, i oczy moje zamykały się przed tym widokiem. Jęk przez sen nie ustawał. Wreszcie zdecydowałem się, poruszę go, niech przestanie. Chciałem podejść i potknąłem się. Nie zauważyłem, że tuż prawie u nóg moich leży postać jakaś — a za nią druga i trzecia. Jak zwykle w ratuszu miejsca nie starczyło, więc się na ziemi pokładli. Tymczasem jęczący chrapnął głośniej i zamilkł. I było znowu cicho. Słychać było tylko sapanie śpiących i od czasu do czasu kroki na korytarzu, otwieranie i zamykanie drzwi... Zmęczenie owładnęło mną. Począłem chwiać się na nogach. Usiadłem na ziemi... Zdaje się, że się nieco zdrzemnąłem. Nagle — krzyk — przeraźliwy krzyk... Zerwałem się. Wszyscy śpiący pobudzili się. Był to jakiś pisk, skowyt głosów jakby dziecięcych...

— Ot, znowu biją — tych zbójów, tych narchistów! — zauważył ktoś z kąta. Leżący pozrywali się na nogi prawie wszyscy. Krzyk nie ucichł. Ktoś zauważył, że to już i wczoraj było. — Krzyk jakby rósł. Chwilami były przerwy. Zebrałem jakoś ostatnie siły mózgu. Zrozumiałem, że głosy te lecą z sąsiedniego budynku... Część więźniów poklękała i ktoś półgłosem począł mówić „Kto się w opiekę“. Byli to, jak później zobaczyłem, stróże, aresztowani za strejk. Twarde głosy powtarzały. Inni posiadali na narach i czekali. Jeden głowę wziął w ręce i chciał uszy zatkać. Inny patrzał przerażonem okiem przed siebie... Krzyk nie ustawał. Ktoś zaproponował, bym usiadł. Podszedłem, usiadłem. Był to człowiek lat przeszło trzydziestu. Żyd. Twarz inteligentna. Przy nim do boku jego przytulił się mały chłopak, wyglądający na lat jakie dwanaście — trzynaście. Byli to ojciec z synem. Wreszcie krzyk począł słabnąć, cisza. Cisza ta może jeszcze bardziej okropną była. Później krzyki takie słyszałem nieraz — z sąsiedniego tego budynku, w fortach i t. d. I zawsze po nich następowała okropna cisza. Nikt

się nie odzywał... Jakgdyby jakaś niemoc przytłoczyła wszystkich do ziemi...

Ludzie powoli kładli się i zasypiali. I ojciec z synem, którzy mi miejsce zrobili, położyli się... Ja siedziałem na końcu ich nary. Słyszałem, jak dzieciak coś ojcu gorączkowo szeptał, a ten go starał się uspokoić... Jakoż wszyscy zasnęli. I dawny nastrój powrócił. Znowu się na siedzący zdrzemnąłem... Nie długo chyba... Skoro oczy przetarłem, świtało. Jakieś blade bezbarwne światło poczęło się przez okna przekradać. Okna są w ratuszu niewielkie z żelazną kratą i tak zwanym koszem. Jest to trójkątna blacha, zakrywająca cały widok, tak iż tylko z góry światło wchodzi. Zaduch był okropny. Dopiero teraz mogłem się lepiej swoim towarzyszom przyjrzeć. Spali prawie wszyscy w ubraniu, rozpiętem tylko — na brudnych wstrętnych siennikach. Pod głową mieli palta. Na podłodze brud — błoto, na oknach jakieś kawałki chleba — a za kratą w owym „koszu“ cały śmietnik. Najwcześniej obudził się mój chwilowy opiekun. Zobaczywszy, że nie śpię, zaczął ze mną rozmawiać. Zwykła pierwsza rozmowa kto — skąd — i t. d.

— Ja to nic, mnie zaraz puszczą, u chłopaka znaleźli jakąś proklamacyę i tyle...

Na korytarzu dzień się robił. Drzwi skrzypnęły: „Czy są koszyki“. Współtowarzysze poczęli się budzić. — I zaczął się dzień, zwykły przeciętny dzień ratuszowy. Myje się pod kranem, których dwa znajduje się na każdym korytarzu. W zimie zimno okropne. Okno, będące w końcu korytarza, stale ma szyby wytłuczone. Podłoga szczególniej na dole i pierwszem piętrze, pokryta lepkiem błotem. Rozkład jest mniej więcej taki: na dole siedzą kobiety, na pierwszem piętrze mężczyźni, na drugiem są tak zwane sekretne, gdzie zamykają pojedyńczo lub w mniejszej ilości. Tak jest dzisiaj. Pół roku temu było inaczej. — Po umyciu się na pierwszem piętrze pozostawiają jakiś czas drzwi otwarte. Na drugiem prędko zamykają. Wkrótce zjawia się „kipiatok“, który dwu więźniów najczęściej z kategoryi kryminalistów, roznosi w brudnem cuchnącem drewnianem naczyniu. Klucznik rozdaje chleb. Czas do południa biegł szybko. Od rana przynoszono z dołu „wałówki“, czyli posyłki, które rodzina lub znajomi przynoszą. Przedtem przyjmowano je w piwnicy, obecnie w bramie od Danilewiczowskiej. Rzecz prosta, że dochodziło przeważnie tylko to, co się nie bardzo wydało smacznem przysłudze i kucznikom. Teraz w roznoszeniu pomagają więźniowie z pierwszego piętra. Drzwi się ciągle otwierają, i ciągle ktoś jakieś nazwisko wywołuje. Potem obiad. Kto może sprowadza go sobie z miasta. Inni biorą ową zupę... Niby to drobiazg, lecz przykro pomyśleć, że człowiek głodem zmuszony bywa do jedzenia czegoś podobnego.

Na żywność magistrat asygnuje śmiesznie małą kwotę pieniędzy, a jeszcze zawsze ich część zostaje w kieszeniach różnych naczelników, dozorców, i t. p. Czasem wołają kogo na widzenie. Odbywa się ono przez podwójną kratę, lub za odpowiednią opłatą bez niej. Trwa krótko, i więcej przynosi przykrości niż... Poobiedzie bywa dłuższe i bardziej męczące. W tym czasie przyszedł do naszej kamery klucznik i zawołał owego chłopca, który z ojcem siedział. Obaj poczęli się zbierać.

— Nie, pan zostanie, a tylko syn na górę...

Przykro było patrzeć na tych ludzi.

— No, idź, to jakieś nieporozumienie...

Chłopak nie tracił czasu, wziął swoje zawiniątko i poszedł. Po tygodniu czy dwóch — razem z innemi jako anarchistę go rozstrzelano... bez sądu.

Wkrótce po wyjściu chłopca przeprowadzono mnie do innej celi. Tam siedzieli tak zwani inteligenci, kolejarze i nieco innych zawodów. Część jedna patrzała z góry na drugą. Kłótnia następowała za kłótnią... Między kłócącemi lawirował pewien b. usłużny jegomość, który lubił przysłuchać się rozmowie a czasem i o coś się pytać, udając wtajemniczonego w sprawy partyjne. Jak zwykle szpicel... Pod wieczór — okno na skutek zaduchu było otwarte, usłyszeliśmy zrazu cichy, potem coraz głośniejszy śpiew. To śpiewała jedna z większych kamer. U nas jako u inteligentów zazwyczaj — było cicho. Śpiew był nierytmiczny, urywany, przechodził w krzyk. A jednak było w nim pomimo rytmu krótkiego, ostrego pieśni rewolucyjnych coś zarazem bolesnego i krzepiącego. Paru z nas porwanych melodyą podchwyciło. Śpiewaliśmy pomimo oburzenia i protestów współtowarzyszy. W krzyk ten wkłada człowiek jakiś bunt wewnętrzny i jakieś zapewnienie samego siebie, że „coś“ się stać musi... Nigdzie może człowiek, jak w ratuszu warszawskim, nie ma sposobności przekonać się, że za łapówkę wiele mieć może. Bez wyjątku biorą wszyscy i różnemi szykanami wprost wymuszają datki. Szczególniej uczuwać się to daje na drugiem piętrze, gdzie siedzą t. zw. sekretni... Rzecz prosta, dla kobiet siedzenie jest bez porównania cięższe. Podczas pobytu jednego z towarzyszy zdarzył się np. fakt następujący: Kurakin, naczelnik więzienia, awansowany z rewirowego przez Nolkena, złodziej, łapownik i szubrawiec z pod ciemnej gwiazdy, potrącił jedną z aresztowanych, tak, iż się ona przewróciła. Dostał za to w twarz. Wtedy podniósł ryk, zawołał żołnierzy i kazał bić. Żołnierze jednak nie bili, a po odejściu wyrażali radość, że naczelnik „w mordu połuczył“.

Najokropniejsza jest noc... Co chwila kogoś wołają, to szykują transport do fortów, to na śledztwo. Warszawska „achrana“ zazwyczaj prowadzi

badania przez noc całą. Ciągle, szczególniej na drugiem piętrze, gdzie siedzą najbardziej podejrzani, słychać dzwonek i klucznik łazi od celi do celi, wywołując nazwisko. I tak do rana. Przez okno słychać, jak przyprowadzają nowych „gości“, to znowu na korytarzu rozlegają się śmiechy i żarty trzymanych w odrębnej kamerze prowokatorów. Poeta, Olek, Czerwony, wszystko to ma hotel wśród „sekretnych“...

Późną nocą do snu nas kołysze słyszana przez otwarte okno z podwórza przemowa oficera, mającego odprowadzać większy transport więźniów:

— Kto upadiet, ostawlat' miortwym na miestie. Wołyncy, słyszytie, ja wam prikazywaju bit'...

Konrad T.

Reakcya, opozycya, rewolucya.

Różnorodne czynniki, występujące w walce politycznej, nie dadzą się podzielić na dwie biegunowo różne kategorye. Burżuazya i proletaryat, te dwa terminy, wystarczające dla określenia stosunku ekonomicznego i współzależności różnych warstw społecznych, przeniesione w dziedzinę polityki, nie obejmują całokształtu zjawisk politycznych. Burżuazya i proletaryat! Zastrzedz się muszę, iż pod pierwszym z tych terminów rozumiem te warstwy społeczne, które korzystają z podziału bogactw, nagromadzonych pracą w ten sposób, że cała nadwartość pracy staje się ich udziałem, podczas gdy proletaryat zadawalać się musi taksą, z jednej strony redukowaną i ograniczaną chęcią największego zysku, do którego dążą kapitaliści, z drugiej strony podwyższającą się dzięki walce ekonomicznej, lecz nieodpowiadającą kulturalnym normom życia. W ten sposób do burżuazyi zaliczam nietylko reprezentantów kapitału, ale i tych wszystkich, którzy dzięki swoim stanowiskom uprzywilejowanym wyzyskują narówni z kapitalistami owoce cudzej pracy. Jeśli jednak nawet przy takim podziale społeczeństwa niezawsze jest możliwe przeprowadzenie ostrej linii demarkacyjnej w zakresie stosunków ekonomicznych, to podział taki w dziedzinie politycznej stanowczo nie wystarcza.

Polityka burżuazyjna i polityka proletaryacka nie mieszczą w sobie wszystkich składników życia politycznego. W społeczeństwach zachodnich, gdzie poziom ogólnego uświadomienia jest wyższy, pomiędzy tymi dwoma biegunami istnieją jeszcze ogniwa pośrednie, do których nie można zastosować żadnego z dwu przyjętych mierników. W społeczeństwie polskiem ogniwa te są tak nieznaczne, wpływ ich na toczącą się w dobie obecnej walki tak mały, że nikną i roztapiają się one w hałaśliwem morzu reakcyi. Przyczyna takiego stanu rzeczy tkwi w długoletnich wa-

runkach istnienia, warunkach, narzuconych przemocą i gwałtem, a więc krępujących normalny rozwój sił społecznych, niepozwalających nawet na zróżniczkowanie, odzwierciadlające istotny układ i wzajemny stosunek tych sił. Mimo to nawet w życiu politycznem Królestwa rozróżnić należy trzy prądy: reakcyę, opozycyę i rewolucyę.

Przedstawicielką reakcyi polskiej jest stronnictwo narodowo-demokratyczne. W cieniu czarnych skrzydeł stronnictwa zatracają się wszelkie różnice rodzimego wstecznictwa i barwa jego staje się jednolitą. N. d-cya — to typowy obraz dążeń i strategii reakcyjnej, żywe uosobienie wszystkich jej cech. Całkiem niedwuznaczna lojalność względem rządu, dwuznaczne stanowisko względem otumanionej frazesem części własnego społeczeństwa, namiętne zwalczanie każdego przejawu rewolucyjnego, a jednocześnie monopolizowanie na swój wyłączny użytek popularnych haseł i słów — to stara taktyka reakcyjna, dobrze znana z każdej historyi walk politycznych. N. d-cya jest stronnictwem nawskróś międzynarodowem. Należąc do ogromnej rodziny reakcyi międzynarodowej, stronnictwo to, wszędzie, gdzie toczy się bój o wolność, wszędzie, gdzie chodzi o interesy proletaryatu, wszędzie, gdzie do walki o prawa swe występują ujarzmione ludy, wszędzie i zawsze staje po stronie gnębicieli i wyzyskiwaczy. Organy stronnictwa z rozpaczą rozdzierają swe szaty na myśl o wzroście socyalizmu w Anglii, cieszą się na wiadomość o każdej porażce socyalistów we Francyi, Austryi lub Niemczech (choćby w tych Niemczech jedynie socyaliści stawali w obronie uciskanych pod względem narodowym Polaków!), słowem, każdem wystąpieniem zaznaczają swą solidarność ze wstecznictwem międzynarodowem.

Stosunek rewolucyi do reakcyi z samej natury rzeczy musi być wrogi. Rewolucya w Królestwie niemal na każdym kroku spotyka reakcyę polską, sekundującą rządowi i wraz z rządem usiłującą zdusić wszelkie przejawy rewolucyi.

Poważnie zorganizowanej w Królestwie opozycyi dotąd nie mamy. Demokracya postępowa nie stanowi siły, wpływającej na szersze masy, a rzecznik jej »Prawda« zdradza tyle ignorancyi w zakresie najżywotniejszych spraw politycznych, grzeszy takim brakiem oryentacyi, że chyba za najgorszy wyraz opozycyi polskiej uchodzić może. Bądź co bądź miniatura opozycyi społecznej istnieje i u nas. Rola tego odłamu społecznego jest bardzo niewdzięczna. Opozycyoniści w polityce — to ludzie, szukający »złotego środka«, a więc walczący na dwa fronty. Z jednej strony są oni w opozycyi do rządu i sojusznika rządowego, reakcyi, z drugiej — do rewolucyi. Wytrącani nieustannie z równowagi, prażeni z dwu stron, lawirują między dwoma brzegami, a fale życia raz po raz zbliżają ich to ku jednej, to ku drugiej stronie. Oczywiście działalność tego rodzaju

musi być dwojaka w swych skutkach. Raz przynosi pożytek reakcyi, to znowu wyrządza jej krzywdę, działając tem samem na korzyść mas, walczących o lepsze jutro pod sztandarem rewolucyi. Łącząc swe głosy z chórem czerni reakcyjnej, opozycya walczy z rewolucyą; działając pod znakiem postępu, wydzierając niekiedy łup reakcyi, spełnia swe zadanie, jako czynnik społeczny dodatni.

To też reakcyę należy odróżniać od opozycyi. Pierwsza — to bezwzględny wróg socyalizmu, druga — to i wróg i — w pewnych razach — sprzymierzeniec. Jeśli wszelkie najmniejsze zbliżenie się do reakcyi jest samo przez się wykluczone, to niekiedy współdziałanie socyalistów z postępowymi żywiołami społeczeństwa staje się możliwe. W Galicyi np., socyaliści, pozbawieni w pewnych okręgach wszelkich szans przy wyborach, a postawieni między reakcyą a opozycyą, wybierają czasem złe mniejsze i oddają swe głosy na kandydatów tej ostatniej. To samo zjawisko dostrzegamy obecnie i w Rosyi. Demokraci socyalni w wielu miejscowościach idą ręka w rękę z kadetami, tworząc czasowe przymierze.

W Królestwie inaczej.

Wprawdzie do pewnego czasu i tu burżuazya opozycyjna stroiła się w pióra rewolucyi, szła z rewolucyą, a raczej za rewolucyą, szła aż do chwili, w której mgliste kontury przyszłości zarysowały się jasno. Póki rewolucya szła zwycięsko naprzód, póty ciągnęła za sobą aryergardę sprzymierzeńców, lecz z chwilą, gdy szale zwycięstwa zaczęły się ważyć, aryergarda opuściła armię i zgrupowała się pod własnym znakiem.

Tak było w każdej rewolucyi, tak było i w obecnej.

Jeśli opozycya w Królestwie Polskiem, jako słaby czynnik polityczny, niczem nie zaznaczyła się jaskrawiej w dobie przełomu, to wymowną ilustracyą taktyki żywiołów opozycyjnych jest Rosya.

Kadeci, wyniesieni na grzbiecie fali wolnościowej, przed czasem zlikwidowali swój udział w ruchu rewolucyjnym, bo już w pierwszej dumie spodziewali się zrealizować zdobycze rewolucyi. Rzeczywistość rozwiała ich złudzenia i dziś ciż sami kadeci z pewną tęsknotą oglądają się poza siebie; dziś znowu radziby oni mieć na swe potrzeby argumenty, dostarczone rok temu przez rewolucyę. Dla kadetów bowiem rewolucya była »dobrym interesem«; jej zawdzięczali oni swoje tryumfy, dzięki niej wytworzyli siłę, pozwalającą marzyć o uchwyceniu steru państwowego w swe ręce. Rozpędzenie dumy było dla nich sygnałem ostrzegawczym. Zrozumieli to w lot, przekreślili manifestacyjnie czyn swój w Wyborgu, i zmoderowali interpretacyę programu. Lecz dokonawszy tego dzieła, oglądają się oni znów na rewolucyę, a wszystkie jej przejawy, choćby drobne i małoznaczne, wydymają do rozmiarów szerokich, zawczasu ku-

jąc z nich broń, którą będą mogli użyć w nowej batalii ze zgrają czynowniczą w dumie.

Opozycya w Królestwie nie może odegrać tej roli, co w Rosyi, nie może marzyć o zagarnięciu w ręce swe władzy i tek ministeryalnych. To też przepaści, dzielącej w Królestwie obóz rewolucyjny od opozycyjnego, nietylko nie zmniejszyły wybory do dumy, ale ją powiększyły. Nawet socyalna demokracya nasza, wplątana wbrew swej woli w sieci wyborcze, nie miała odwagi pójść za przykładem swych władz centralnych i chwilowo połączyć się z opozycyą burżuazyjną. W ten sposób demokraci socyalni u nas, nie mając żadnych szans przeprowadzenia o własnych siłach swoich kandydatów do dumy, zerwali łączność z towarzyszami rosyjskimi, pod których komendą poszli do urn wyborczych.

W dumie carskiej reakcya rosyjska zetknie się z reakcyą polską, opozycya rosyjska dziś już widzi usiłowania swoich sprzymierzeńców w Królestwie, lecz żywioły rewolucyjne Polski i Rosyi w dumie petersburskiej spotkać się nie mogą.

Reakcya nasza na pierwsze skinienie rządu otworzyła swoje ramiona, opozycya wszelkimi siłami szuka dróg, prowadzących do Petersburga, choćby tą drogą był szpaler bagnetów, setki policzków i tysiące upokorzeń, zadanych godności ludzkiej przez czynowników carskich; jedna tylko rewolucya przetrwała mężnie dobę przełomu i nie zeszła ze swego stanowiska.

Rewolucya polska pozostanie w Polsce.

W tem jej dziejowe znaczenie i moc.

Bo jeśliby nawet przyszłość zawiodła, jeśliby nadzieje, wiodące masy proletaryatu polskiego na pole bezustannych ofiar nie miały się ziścić, jeśliby nawet najpesymistyczniejsze przewidywania okazały się słuszne, faktem niezbitym pozostanie, że rewolucya polska spełniła swe przeznaczenie: pozostała do końca rewolucyą.

A. Krońśki.

Rozłam w P. P. S. a robotnicy.

Rozłam w najsilniejszej organizacyi politycznej Królestwa musiał wywołać głęboki ferment w masach robotniczych, musiał skierować ich myśl w łożysko dociekań i badania przyczyn, które ten smutny fakt wywołały. Dziś, gdy od chwili rozłamu, upłynęło już parę miesięcy, nie może ulegać kwestyi, że pierwsze wrażenie, jakie wiadomość o wynikach ostatniego zjazdu na masy robotnicze wywarła, było wrażeniem czegoś całkiem niespodziewanego, czegoś, czego robotnicy, skupieni pod sztandarem P. P. S., zupełnie nie oczekiwali. Rzecz prosta, że przedewszyst-

kiem należało wyjaśnić powody, które skłoniły obie frakcye do zerwania łączności organizacyjnej. Okazało się, że i te powody były dla zorganizowanych robotników niespodzianką. Tradycya P. P. S.-owa niezatarte pozostawiła ślady, a »nowy kurs« nie mógł w ciągu ostatniego okresu wywrzeć wpływu głębszego na masy. Nie ulega żadnej wątpliwości, że gdyby kierunek »młody«, trzymający w swych dłoniach ster partyjny, pozostawał w ściślejszym kontakcie z kadrami robotniczemi, to rozłam, zapoczątkowany na zjeździe, skończyłby się na zjeździe i utworzenie dwu frakcyj rzeczywistych, tj. mających za sobą zorganizowane rzesze, byłoby niemożliwe. Okazało się, że prądy, nurtujące P. P. S., sięgały do samej głębi organizacyjnej, że źródło rozłamu znajdowało się w masach.

I dlatego zachowanie się tych mas ma znaczenie pierwszorzędne, bo musi być czynnikiem rozstrzygającym.

Jakże zachowały się te masy?

Nie będziemy wyliczali, które organizacye i w jakiej ilości przystąpiły do jednej lub do drugiej frakcyi. Nie o stosunek liczebny nam chodzi, lecz o zaznaczenie samego faktu przyjęcia rozłamu przez warstwy robotnicze, przyjęcia, najlepiej ilustrującego rzeczywistość.

Ze sporu zjazdowego rozłam wszedł w dziedzinę życia i masę podzielił na frakcye.

To fakt.

A jednak nie da się zaprzeczyć, że masa ta z ubolewaniem odzywała się o rozłamie, a jeżeli przystępowała do frakcyj, czyniła to najczęściej z konieczności, licząc się jedynie z faktem dokonanym, nie mając możności zaradzenia złemu. Z licznych zebrań, które odbyły się we wszystkich punktach przemysłowych Królestwa, na baczną uwagę zasługuje ta niechęć, z jaką robotnicy odnosili się do rozłamu. Po zjeździe można było oczekiwać, że przedstawiciele frakcyjni na zebraniach robotniczych wystąpią z całą siłą w obronie swoich ideałów, że dyskusya przedewszystkiem na tem tle rozwijać się będzie. Najczęściej wszakże było inaczej. Niepodległość, która w interpretacyi »nowego kursu« zmalała do rozmiarów autonomii lub federacyi, później rozrosła się aż do trzech zaborów, a na zebraniach znów w dawnej swej rozciągłości i formie była podtrzymywana, przestała być do pewnego stopnia głównym punktem niezgody. Pozostała sprawa taktyki. Niedawno wszakże okazało się, że »nowy kurs«, który tak gorliwie bronił »proletaryuszy w mundurach«, znalazł w krytycznej chwili dość odwagi i męstwa, aby wobec żołdaków carskich wystąpić, jak przystoi rewolucyonistom.

Ale taktyka względem wojska i stanowisko niepodległościowe nie było jedyną przyczyną rozłamu. Pamiętamy dobrze i inne zarzuty, których »staremu kursowi« »kurs nowy« nie szczędził. Pamiętamy dosko-

nale, ile tych zarzutów na tle ideowym powstawało. A jednak rzecz znamienna! W »Robotnikach«, które obiedwie frakcye wydają, nie spotkaliśmy na tle ideowem polemiki rzeczowej. Zarzuty, które padały z obu stron, miały często charakter nieporozumień wewnętrznych, któreby wewnątrz organizacyi doskonale mogły być załatwione, to znowu dźwięczały jak echa stoczonej na zjeździe utarczki.

Przyczyny rozłamu maleją z biegiem czasu.

Konstatujemy to z radością, podnosimy ten fakt, jako zapowiedź zbliżenia się dwu frakcyj, zbliżenia, którego dobro mas robotniczych wymaga.

Nie chcemy przez to nie doceniać różnic, dzielących oba odłamy. Dobrze zdajemy sobie sprawę, że te różnice istnieją, że istnieć będą i nadal, ale P. P. S. nigdy nie była nieruchomą jednolitą bryłą, zawsze miała w swoich szeregach ludzi, którzy godząc się na zasadnicze punkty taktyki i programu, mieli w innych kwestyach odrębne poglądy i zapatrywania. Opozycya musi istnieć w każdej partyi, jeżeli ta nie ma ugrzęznąć w sekciarskiem skostnieniu, lecz kroczyć drogą normalnego rozwoju. I wiemy dobrze, że śród »młodego kursu« są jednostki, które nigdy nie zgodzą się na ponowne organizacyjne połączenie partyi, wiemy dobrze, iż te jednostki niejednokrotnie stwierdzały, iż zarówno ideologia ich, jak poglądy taktyczne bliższe są S. D. K. P. i L., niż ideałom i taktyce, którym przez szereg lat hołdowała polska partya socyalistyczna. Jednakże okoliczność ta nie może mieć znaczenia decydującego. Bo dziś, kiedy »stary kurs« wystąpił przed masy robotnicze z hasłami, które zawsze P. P. S. propagowała, dziś ta »skrajna lewica« zamilkła i robotnicy jej głosu nie słyszą.

Nie wyciągamy z tego zbyt daleko idących wniosków.

Wiemy, że nie wszystkie odłamy, które sztandar polskiej partyi socyalistycznej zjednoczył, mogą nadal iść pod tym sztandarem. Dowodem tego jest charakterystyczny objaw: z jednej strony »nowemu kursowi« otworzyła ramiona t. zw. partya »Proletaryat«, reprezentująca kliczkę najbardziej wrogo usposobioną względem p. p. s.-owców, z drugiej strony dają się już słyszeć głosy, pchające »kurs nowy« w objęcia socyalnych demokratów. Ale jednocześnie frakcyi rewolucyjnej, która znów wysoko podniosła sztandar P. P. S., nikt nie otwiera swych ramion, nietylko godząc się w ten sposób z jej egzystencyą, lecz stwierdzając niejako konieczność jej istnienia. Natomiast drugiej frakcyi głosy te odmawiają wprost wszelkiej racyi bytu. I oto frakcya ta ma dwie drogi do wyboru, a choć może jeszcze czas jakiś utrzymać się na zajętem stanowisku, to jednak z samej natury rzeczy musi przechylać szale swoich sympatyj na jedną lub na drugą stronę, tj. zbliżać się ku P. P. S., lub S. D. Do takiego kroku

z wolą lub wbrew woli pchać ją będzie sama siła życia, wszystkie poważniejsze zjawiska polityczne, wobec których trzeba będzie zająć wyraźne stanowisko, zgodne ze stanowiskiem frakcyi rewolucyjnej, lub stanowiskem S. D.

Którą z dróg frakcya ta wybierze?

Powtarzamy, iż nie łudzimy się, aby dziś, gdy zróżniczkowanie partyjne w jaskrawych przejawiło się formach, aby dziś wszystkie elementy, które zgromadził sztandar P. P. S., mogły bez żadnych wyjątków znów pod sztandarem tym stanąć. Ale życie wykazało, że wyjątki te stanowią garsteczkę nieliczną, garsteczkę, która wobec robotników nie występuje wcale, lub dawną bezwzględność z całych sił hamuje. Prędzej czy później garstka ta musi odpaść i w odpowiedniejszych znaleźć się szeregach.

Lecz stan, wywołany rozłamem, trwać dłużej nie powinien.

Robotnicy od samego początku protestowali przeciw rozłamowi, a głos protestu po dzień dzisiejszy jeszcze się rozlega. Młodzież również nie chce słyszeć o rozłamie. Wypowiadając się za jedną lub za drugą frakcyą, czyni to najczęściej nie skutkiem własnego popędu, lecz jedynie skutkiem sytuacyi, która nie pozwala należeć do dwu frakcyi jednocześnie.

Dziś, gdy rozłam uwidocznił istotne różnice, gdy wykazał ile obie frakcye mają wspólnego, dziś zakończenie wytworzonej kryzysem sytuacyi jest wskazane, jako konieczność, której obie strony poddać się powinny.

Ponowne połączenie się frakcyj wytworzy partyę silniejszą i bogatszą o jedno ważne doświadczenie. Lecz jest jeden argument, który przedewszystkiem o połączeniu tem zadecydować powinien. Tym argumentem rozstrzygającym jest protest robotników.

Takiemu życzeniu partya proletaryacka uledz powinna i — mamy nadzieję — prędzej czy później uledz mu musi.

Petersburszczanin.

Z życia rosyjskiego.

Akcya wyborcza kipi na całym obszarze państwa rosyjskiego, a dotychczasowe jej wyniki nie zapowiadają nic pocieszającego rządowi p. Stołypina. Bo też trzeba przyznać, że los stanowczo nie sprzyja temu rządowi. Właśnie wówczas, kiedy chodziło mu najbardziej o zachowanie czystości reputacyi, brudna rzeczywistość życia biurokratycznego, nurzała go coraz głębiej w błocie. Powinięcie się nogi wiceministrowi Hurce ujawniło bezbrzeżną zgniliznę systemu i sprawa Hurko-Lidwal rozrosła się do rozmiarów kolosalnej »Panamy żywnościowej«.

Badanie stosunków Lidwala wykryło fakt, że gubernator niżnienowogrodzki, baron Frederiks, otrzymał od niego 25.000 franków w postaci najzwyklejszej łapówki. Sprawa barona Frederiksa rzuciła jaskrawy snop światła na brudne sprawki miejscowych satrapów biurokratycznych w całym szeregu gubernii: Penzeńskiej, Samarskiej, Ufańskiej, Symbirskiej i t. d. Skandal zatacza coraz szersze koło i fakt okradania skarbu kosztem śmierci głodowej tysięcy chłopów nabiera cech jednej z najbardziej powszednich, wprost naturalnych funkcyj obecnej machiny państwowej carskiej Rosyi.

»Panama żywnościowa« stała się w ręku całego obozu opozycyjnego potężną bronią przeciwko obecnemu ładowi państwowemu, niepospolitym orężem w agitacyi wyborczej. »Za Hurką« czy »przeciwko Hurce« — oto hasło, rozbrzmiewające po wsiach rosyjskich — hasło zrozumiałe dla wszystkich, przystępne dla najmniej rozwiniętych, najmniej uświadomionych politycznie mas chłopskich. »Za Hurką«, a więc za systemem złodziejstw i gnębienia ludu opowiedziałby się ten, ktoby głosował na kandydatów, przez rząd poleconych. »Przeciwko Hurce«, a więc przeciwko temu wszystkiemu, co gnębi chłopa, wypowiada się opozycya, nic więc dziwnego, że losy kandydatów opozycyjnych — od kadeckich aż do socyalno-rewolucyjnych, gorąco chłopa obchodzą.

Sprawa zabójstwa posła Herzensteina, która weszła na porządek dzienny wskutek kompromitujących rewelacyj »Rjeczy« — organu partyi kadetów, jest niemniej dotkliwym ciosem dla rządu p. Stołypina. »Związek narodu rosyjskiego«, który miał się stać potężną dźwignią w ręku rządu, zgotował mu haniebną kompromitacyę wobec całej opinii publicznej. Herzenstein został zamordowany na terytoryum Finlandyi, co również komplikuje sprawę i utrudnia rządowi jej zatuszowanie. I oto cała Rosya dowiaduje się, że wszyscy ci Juszkiewicze-Krasowscy, Położniewy, Topolewy, Łarizczkinowie, Rudziki i inni przedstawiciele popieranego i zachwalanego przez rząd stronnictwa nie są niczem innem jak mordercami, przeważnie płatnymi »od sztuki«. Nie udało się nawet zrobić z nich »fanatyków«, jak to usiłował uczynić »Sztandar Rosyjski« — organ tej sławetnej partyi. Przecież »fanatycy« nie przepijają kapeluszy, w które ich zaopatrzyli menerzy, posyłając na morderstwo.

I prasa opozycyjna bardzo umiejętnie wyzyskuje coraz to nowe szczegóły, dotyczące zamordowania Herzensteina, gdyż każdy taki fakt — to nowa belka, rzucona pod nogi rządowi Stołypina i jego pupilów ze »Związku narodu rosyjskiego«, to nowy atut w walce wyborczej z kandydatami rządowymi. Sprawa morderców Herzensteina obok »Lidwaliady« — to bardzo poważny atut w ręku opozycyi — tem poważniejszy, że również działa bardzo silnie nawet na surowe politycznie umysły.

Nadchodzące codziennie coraz to nowe szczegóły z pola walki wyborczej, ilustrują dosadnie zupełną niemal bezsilność wpływów rządowych na szersze masy wyborców. A przecież, zdawałoby się, że p. Stołypin nie zaniedbał nic, coby mogło mu ułatwić zwycięstwo. Począwszy od słynnych »wyjaśnień« senatu, a kończąc na bezwzględnie stosowanym terrorze — wszystkiego imał się rząd p. Stołypina, aby zmusić wyborców do głosowania tak, jakby to było na rękę rządowi. A jednak... znane dotychczas wyniki wyborów dowodzą wyraźnie, że wszystkie te usiłowania nie osiągnęły pożądanego celu.

Co prawda, rząd począł odnosić tryumfy wyborcze — i to bardzo znaczne, wprost imponujące nawet, ale — jedynie w fantazyi Ajencyi rządowej, która usiłowała świadomie w błąd wprowadzić opinię publiczną i wywołać depresye w kołach antyrządowych. W jej telegramach, rozsyłanych do prasy zwyciężały całe chmary »monarchistów«, »umiarkowanych-bezpartyjnych« i t. d., którzy, po zasięgnięciu informacyi przez prasę opozycyjną na miejscu, nie tylko, jak się pokazało, nie byli żadnymi »monarchistami« i t. d., ale reprezentowali niekiedy skrajne odłamy opozycyi. Przyłapana na gorącym uczynku kłamstwa, Ajencya rządowa zaproponowała pismom, aby te wysłały swych przedstawicieli w celu sprawdzenia zgodności rozsyłanych przez Ajencyę informacyj z doniesieniami jej korespondentów w poszczególnych miejscowościach. Kierownikom Ajencyi rządowej zdawało się, że nikt nie zechce sprawdzać tych danych. Tymczasem stało się inaczej. Przedstawiciel »Rusi« miał tę bezczelność, że przyjrzał się telegramom, nadsyłanym Ajencyi, stwierdził niezgodność ich z informacyami, rozsyłanemi do gazet i ogłosił publicznie wynik swych badań. W obec tego Ajencya cofnęła się od dalszego zaspakajania grzesznej ciekawości niegodziwych współpracowników pism opozycyjnych i nieco zmieniła taktykę. Poczęła mianowicie zastępować określenie przynależności partyjnej lub sympatyj politycznych poszczególnych wyborców przez takie dane, jak »prawosławny«, »prosty robotnik« i t. d. Określenia te nic wprawdzie nie mówią, ale też nie szerzą paniki wśród »ludzi prawdziwie rosyjskich«. Skąd-że to się można dowiedzieć, że »prosty robotnik« oznacza w danym wypadku socyalnego rewolucyonistę, a »prawosławny« socyalnego demokratę?

Bądź co bądź jednak Ajencya się skompromitowała i wywołała efekt, całkiem przeciwny zamierzonemu. Gdyby bowiem chciała obecnie podać dane prawdziwe, to publiczność będzie je tłómaczyła w sensie, niepożądanym dla rządu, uważając, że ma do czynienia z cyframi, tendencyjnie sfałszowanemi na niekorzyść opozycyi.

Prasa opozycyjna zaopatruje się obecnie w informacye własnych korespondentów, a te mówią zupełnie co innego, aniżeli dane Ajencyi

rządowej. Przedewszystkiem mówią one bardzo wyraźnie o nastroju opozycyjnym w masach włościaństwa, a następnie świadczą o zupełnej bezsilności »Związku narodu rosyjskiego«. I jedno i drugie jest bolesnym ciosem dla rządu, który, nie wypuszczając z rąk broni represyj bezwzględnych, dotkliwie godzących w partye opozycyjne, poczyna jednakże nie na żarty liczyć się z możliwością przegranej.

Owocem tych melancholijnych przewidywań jest niewątpliwie nowy cyrkularz ministra Stołypina, skierowany niby do jenerał-gubernatorów i gubernatorów, ale w rzeczywistości wystosowany do całego społeczeństwa. Jakkolwiek w zakończeniu tej enuncyacyi rządowej spotykamy się z zapewnieniem, że, aż do zupełnego uspokojenia kraju, »rząd będzie używał wszelkich, znajdujących się w jego rozporządzeniu środków legalnych« (mowa tu o represyach, sądach polowych i t. d.), niemniej jednakże treść całego okólnika brzmi dość żałośnie.

Zwykle dotychczas podobne dokumenty pojawiały się po jakimś szczególnie udanym wybuchu bomby. Widać więc, że dotychczasowy przebieg wyborów działa na rząd Stołypina nakształt tego śmiercionośnego narzędzia. Stołypin zapewnia, że tendencyjnem zmyśleniem jest, jakoby rząd chciał koniecznie rozwiązać nową Dumę, że, przeciwnie, chce on pracować wspólnie z nią i tylko »niektóre partye polityczne« starają się »fałszywie przedstawić jego działalność i zamiary«. Czy ten cyrkularz jest jedynie manewrem wyborczym, czy też zwiastuje on zwrot rządu w kierunku liczenia się z opozycyjnością opinii społeczeństwa, pokaże to niedaleka przyszłość.

Że nowa Duma będzie niemniej opozycyjną od poprzedniej, zdaje się to już obecnie nie ulegać żadnej wątpliwości. Kiedy czytelnicy »Trybuny« będą mieli przed oczyma te wiersze, przebieg wyborów wyjaśni już zupełnie sytuacyę. Na razie, nie chcąc się bawić w proroctwa, pragnąłbym zatrzymać się nad ciekawym epizodem wyborczym, interesującym bardzo ogół rosyjski. Chodzi mianowicie o wybory w stolicy, w Petersburgu.

Przy poprzednich wyborach socyalni demokraci rosyjscy nie tylko w zasadzie bojkotowali wybory w Petersburgu, ale stolica Rosyi była jednym z tych punktów, gdzie się im udało tę zasadę rzeczywiście w czyn wcielić. Ponieważ sytuacya nie była się jeszcze wyjaśniła, przypuszczano, że mandatami petersburskimi mogą owładnąć reakcyoniści, więc wszystkie żywioły, biorące udział w wyborach, popierały kadetów, którzy też odnieśli w Petersburgu walne zwycięstwo.

Wskutek tego kadeci uznali siebie za panów sytuacyi w stolicy państwa, i bynajmniej nie chcą się wyrzec tego poglądu obecnie, kiedy położenie się znacznie zmieniło. Zmiana polega mianowicie na tem, że

po mandaty petersburskie wyciągają ręce oprócz kadetów i inne partye opozycyjne, gotowe iść do walki wspólnie z kadetami, ale żądające od nich dobrowolnego zrzeczenia się paru mandatów.

Wszystkich mandatów petersburskich jest 6. Otóż kadeci godzą się na odstąpienie blokowi lewicy dwóch z nich, lecz blok ten domaga się koniecznie 3, a to z następujących przyczyn. Obok kadeckiego wśród opozycyjnej inteligencyi rosyjskiej, ogromny wpływ posiadają dwa jeszcze: socyalno-demokratyczny i socyalno-ludowy. Otóż obydwa te kierunki domagają się dla siebie po jednym mandacie, które w takim wypadku otrzymaliby: inteligent-socyalny-demokrata i przedstawiciel partyi ludowo-socyalistycznej (która wyłoniła się z partyi socyalistów-rewolucyonistów). Obydwa jednakże zgodnie twierdzą, że trzeci mandat należy się przedstawicielowi kuryi robotniczej, robotnikowi socyaliście. Tymczasem kadeci rozumują w następujący sposób. Jeden mandat należy dać przedstawicielowi kuryi robotniczej, drugi partyi ludowo-socyalistycznej. O ustępowaniu mandatu socyalnej-demokracyi jako takiej nie może być mowy, gdyż partya ta reprezentowana jest przez dwie wrogie sobie wzajemnie frakcye, z których jedna (»bolszewicy«) wcale nie chce słuchać o żadnym bloku opozycyi łącznie z kadetami i postanowiła ich zwalczać, występując z samoistną listą kandydatów*). Socyalni demokraci domagają się jednak osobnego mandatu dla siebie, przypuszczając, że robotnicy mogą nie wybrać socyalnego-demokraty wobec olbrzymiej siły (jak to zupełnie niespodzianie ujawniły wybory pełnomocników robotniczych) wpływów socyalistów-rewolucyonistów na proletaryat petersburski. Kilkakrotnie nawiązywane układy rozbijały się o stanowczą odpowiedź kadetów, że trzeciego mandatu nie odstąpią. I bardzo prawdopodobnie, (jeśli w ostatniej chwili nie zajdzie żadna zmiana), że w Petersburgu będzie parę list kandydackich. A to, jak przewiduje, bezpartyjny socyalistyczny »Towariszcz«, może grozić zwycięstwem październikowców.

Uia.

Wieści z Zaboru Pruskiego.

Przeżyliśmy tedy okres gorączkowej walki, nadziei, oczekiwania — wybory skończone. W zaborze naszym zwyciężyli stanowczo Polacy — Kołowcy, Centrum i Hakata pobite. Ale oto cyfry — w nawiasie zamieszczam ilość głosów, oddanych przy wyborach w r. 1903.

*) Na konferencyi petersburskiej uchwała ta została przyjęta większością głosów, ale 31 uczestników konferencyi (»mieńszewicy«) opuściło tę ostatnią i nie uznało jej uchwały za obowiązującą dla siebie.

W. Księstwo Poznańskie. Okręg poznański: wybrany Chrzanowski — głosów 21231, dr. Wilms (niem.) — 12065, Bebel — 1377. Ciekawą jest statystyka głosów z samego Poznania:

	Chrzanowski	Wilms	Bebel	Rozstrzelone
Ogółem	12009	9412	1335	99
w r. 1903	9061	Niem. 7318	soc. 1374	

Ilość głosów socyalistycznych zmniejszyła się zatem od wyborów poprzednich. Prawda, że w Poznaniu stosunki układały się gorzej, niż gdzieindziej. Ale... znalazłoby się tych »ale« bardzo, bardzo wiele... 12009 głosów polskich w samym Poznaniu, to chyba wymowne świadectwo, jaki żywioł jest tam przeważającym, a zarazem wskazówka, że chcąc tych wyborców pozyskać, trzeba być przez nich rozumianym. Poznań ma smutne tradycye! Pani Róża Luxemburg, przeróżni panowie, jak »Joseph Gogowsky« i t. p. indywidua, zaiste zadługo kompromitowali tam socyalizm — »es ist der Fluch der bösen That« i nietylko w Poznańskiem. Ale idźmy dalej.

Okręg szamotulsko-międzyrzecko-skwierzyński. Wybrany hr. M. Mielżyński, głosów 15680 (14147), landrat Klitzing 12229 (11526), centrowiec Zerbe 1175, socyalista Schulz 533 (588).

Okręg międzyrzecko-babimojski. Wybrany konserwatysta Gersdorff, głosów 11400 (11468); polak ks. Braun 8546 (6714); centrowiec Spahn 1576, socyalista Rybicki 141 (223).

Okręg kościańsko-grodzisko-śmigielski. Wybrany W. Skarzyński.

Okręg gostyńsko-rawicki. Wybrany ks. Stychel, głosów 10.000 (9269); konserwatysta Lewald 4660 (3848); socyalista Stoessel 500 (416).

Okręg leszczyńsko-wschowski. Wybrany rządowiec Kolbe.

Okręg średzko-śremski. Wybrany A. Chłapowski, głosów 14500; landrat Guenther 4193.

Okręg pleszewsko-jarocińsko-wrzesiński. Wybrany L. Czarliński, głosów 14687 (13824).

Okręg kroboszyńsko-koźmiński. Wybrany dr. Mieczkowski, głosów 8687.

Okręg ostrowsko-ostrzeszowski. Wybrany ks. Radziwiłł, głosów 17871 (15290); rządowiec Virck 5563 (4361).

Okręg wieleńsko-czarnkowski. Konserwatysta Zindler zwyciężył redaktora Łebińskiegp, mimo przyrostu głosów polskich. Rozstrzygnął walkę powiat chodzieski, do którego należy Piła — siedlisko urzędników, ci oczywiście ławą głosowali na Zindlera.

Okręg wyrzysko-szubińsko-żniński. Wybrany L. Czarliński, głosów 11690; landrat Wartensleben 10853; socyalista Reitz 152.

Okręg bydgoski. Wybrany rządowiec Schultz, głosów 16156 (12175); L. Czarliński 8182 (7408); socyalista Ledebour 1722 (3067).

Okręg inowrocławsko-zbrzeliński. Wybrany dr. Dziembowski, głosów 17720 (17283); landrat Schlichting 8659 (6998); socyalista Tuszyński 339 (581).

Okręg gnieźnieńsko-witkowsko-wągrowiecki. Wybrany L. Grabski, głosów 16448 (16484); konserwatysta Dionysius 7755 (6065); socyalista Wierbiński 81 (250).

Prusy.

Okręg bucholsko-chojnacki. Wybrany W. Kulerski, głosów 9700 (8739); niemiec 3646 (4467); centrowiec 1600; socyalista 240 (163).

Okręg grudziądzko-brodnicki: wybory ściślejsze między dr. Laszczewskim, głosów 12820 (12503), i liberałem Sieg'em, głosów 13843 (12223); centrowiec Spahn 48, socyalista Trilse 1413 (1397).

Okręg wejherowsko-pucko-kurtuski. Wybrany Janta-Połczyński.

Okręg toruńsko-chełmiński. Wybrany liberał Ortel, głosów 15443; polak 14860; socyalista 527; centrowiec 33.

Okręg świecki. Wybrany polak, Sas-Jaworski.

Okręg człuchowsko-złotowski. Wybrany konserwatysta Wilkens, głosów 9846; Komierowski 5425; antysemita 4007; centrowiec 2849; socyalista 41.

Okręg kościersko-starogurdzko-tczewski. Wybrany Jan Brejski.

Okręg olsztyńsko-reszelski. Wybrany centrowiec Hirschberg.

Okręg szczycieńsko-sądzborski. Wybrany Niemiec konserwatysta Rogulla Bieberstein.

Górny Śląsk.

Okręg bytomsko-tarnogórski. Wybrany Adam Napieralski, głosów 27261 (6854); centrowiec hr. Henckel von Donnersmarck 8924; liberał Remy 9056; socyalista Szołtysek 6359 (10260).

Okręg katowicko-zabrski. Wybrany W. Korfanty, głosów 27005 (11670); liberał Voltz 13234; centrowiec ks. Skowronek 6582; socyalista Adamek 5658.

Okręg opolski. Wybrany ks. Brandys (Polak), głosów 11507; centrowiec ks. Wollny 2550; rządowiec Wedig 5925; Bebel 1105.

Okręg pszczyńsko-rybnicki. Wybrany ks. Skowroński (Polak), głosów 19000 (12151); centrowiec Loss 3285: hakatysta Rzesnitzek 6805; socyalista Damisch 406 (130).

Okręg kozielsko-strzelecki: wybory ściślejsze między redaktorem Siemianowskim a centrowcem ks. Glowatzkym.

Okręg toszecko-lubliniecki: wybory ściślejsze między Polakiem ks. Jankowskim, głosów 11239, a centrowcem ks. Chrząszczem, głos. 7246. Liberał Neutwig 6188, socyalista Trąbalski 1381 (991).

Okręg kluczborsko-oleski: zwyciężył popierany przez centrum konserwatysta ks. Hohenlohe Oehringen, głosów 7379; wolnomyślny Traeger 547; Bebel 73.

Ogółem na kandydatów Koła padło głosów 449.818, przyrost głosów w porównaniu z wyborami w r. 1903 wynosi 102.034. Z przyrostu tego dwie trzecie przypada na Górny Śląsk. »Wieża centrowa«, trzymająca się tak opornie na południu i zachodzie Niemiec, kruszeje i rozpada się na Górnym Śląsku. Nawet ów ostatni akt rozpaczy: rzucenie na kilka dni przed wyborami nazwisk 245 księży centrowych na szalę wyborów, nie zdołał przeważyć tej szali. Lud górnośląski zaczyna krytyczniej patrzeć na swoich czarnych pasterzy, ksiądz-hakatysta znajduje sprawiedliwą ocenę. Mamy więc już pierwszy krok na drodze wyzwolenia z pod wpływów kleru, bo skoro krytyka raz się zacznie i pryśnie wiara w bezwzględną doskonałość księdza, przyjdzie kolej i na trzeźwą ocenę stanowiska kleru »polskiego« wobec ludu i jego potrzeb kulturalnych, społecznych i politycznych. Socyalistów polskich w zaborze pruskim czeka olbrzymia praca. By jednak praca ta owocną była, należy wiele rzeczy zmienić, o wielu rzeczach pamiętać... Sławny ksiądz Stolarczyk, znający jak nikt ducha ludu, z którego pochodził i śród którego pracował, powiadał: »Duch ludzki nie da się złamać, jak kij, na kolanie«, nie można żywego organizmu na cudzą miarę przykrawać... bo się mści.

Na Mazurach poniosła klęskę Mazurska Partya Ludowa. Kandydat jej otrzymał w okręgu szczycieńsko-sądzborskim zaledwie 206 głosów. Jeden z agitatorów w ten sposób opowiada o wyborach, przypominających mocno galicyjską »kiełbasę wyborczą«:

»Na pięć dni przed wyborami rozrzucono nadzwyczajne dodatki do tygodników powiatowych (Kreisblätter) p. t. »Die polnische Verschwörung« i t. d., a agitatorzy niemieccy dowodzili tłumom, że Labuscha (kandydat M. P. L.) niewolno wybierać, bo Labuscha poleca *Mazur*, a *Mazur* jest pismem policyjnie zakazanem.

Zamknięcie drukarni znaczy bowiem w języku agitatorów konserwatywnych tyle, co »zakazanie pisma przez samego landrata«.

Za mężami zaufania Mazurskiej Partyi Ludowej zjawili się, zaopatrzeni suto w brzęczącą monetę, z nieodstępną butelką w kieszeni oraz notatkami o »zakazaniu« *Mazura*, agitatorzy konserwatywni. Poniszczono kartki Labuscha i wciśnięto Biebersteinowe. Przed lokalami wyborczymi służbę naganiaczy pełnili wójtowie. W dzień wyborów rzadkością był trzeźwy chłop. W karczmach dziesiątki »achtelków« stało, z których każdy »frajno« mógł żłopać piwo »ad maiorem Biebersteini gloriam«.

No i Bieberstein zwyciężył.

Wobec wyborów ściślejszych, nastąpiło porozumienie między Centralnym Komitetem wyborczym (Koło polskie) a socyalistami. W Westfalii, w okręgach Dortmund-Hörde, Bochum Gelsenkirchen-Hattingen i Duisburg-Mühlheim Ruhrort Polacy głosować będą na socyalistów przeciw trzem nacyonal-liberałom i jednemu centrowcomi. Zaś w okręgu esseńskim, gdzie socyaliści walczą z centrum, Polacy mają się wstrzymać od głosowania. Ze strony socyalistów, katowicka »Gazeta Robotnicza« wzywa wyborców swoich, by w dwóch okręgach górnośląskich oraz w okręgu grudziądzko-brodnickim (Prusy Z.) oddali głosy na kandydatów narodowców przeciw Centrum i hakatyście. Sojusz przeciw socyalistom w kraju nadreńskim i Westfalii, projektowany między liberałami i centrowcami, rozbił się w ostatniej chwili.

Dostaję właśnie wiadomość, że na Górnym Śląsku w okręgu gliwicko-tuszecko-lublinieckim wybrany został Polak ks. Jankowski, głosów 14197, przepadł centrowiec ks. Chrząszcz, głosów 12336; natomiast w okręgu kozielsko-strzeleckim zwyciężył kandydat Centrum ks. Glowatzky, głosów 11500, przepadł redaktor Siemianowski, głosów 8900. A i w Prusiech Zachodnich zwyciężył w Grudziądzu narodowy liberał Sieg — 14854 głosów, polaka dr. Łuszewskiego, głosów 13551.

Znaczny wzrost głosów polskich, zdobycie nowych mandatów — to najlepsze świadectwo, że ludność najbardziej sennego zaboru zaczyna się budzić i nie myśli ustąpić w walce z szalejącem krzyżactwem. A przeciwnik, wyznający prawo pięści, nie cofa się przed niczem. Oto w komisyi budżetowej sejmu pruskiego przyjęto dwa projekty, dotyczące zapomóg dla urzędników w dzielnicach polskich. Na zapomogi dla kształcenia dzieci wyższych urzędników uchwalono 16 głosami przeciw 5 (centrowym i polskim) 150000 marek.

Na odwołalne dodatki do pensyi dla urzędników średnich i niższych uchwalono *milion* i 900.000 mk., tj. o 100.000 mk. więcej, niż w roku zeszłym. Za — głosów 14, przeciw — 7 (polskich, centrowych i wolnomyślnych).

Dodatki te przeznaczone są dla urzędników, którzy wysłani zostali na »kresy wschodnie« i tam mają pozostać. Nazwa »kresów« obejmuje W. Ks. Poznańskie i powiaty Prus Zachodnich z ludnością mieszaną.

Na zakupno i zabudowanie terenu fortecznego w Poznaniu, uwolnionego przez zniesienie wałów, wstawiono w etat 3,100.000 mk. Z tego milion przeznaczony jest na ułatwienie kredytu właścicielom niemieckim, chcącym w celach budowlanych nabywać działy na owym terenie.

I tu więc, jak wszędzie na ziemi polskiej, czuwa »dobroczynna« ręka nad kulturtraegerem, chcącym w ziemi tej zapuścić korzenie. Bo przyjrzyjmy się tylko niektórym środkom technicznym osławionej komisyi kolonizacyjnej.

Komisya ta, jak wiemy, uważała za zadanie swoje wykupywanie ziemi z rąk polskich. Jednakże plany te rozbiły się o nieprzezwyciężone trudności. Tu i owdzie wpadnie czasem szmat ziemi w ręce komisyi, są to jednak fakty niesłychanie rzadkie, wyjątkowe. »Spekulacya« niemiecka na grunta zetknęła się ze »spekulacyą« polską i wywiązała się zacięta walka wręcz odrębnych interesów. Sami Niemcy przyznają to, że Polacy rozwinęli w walce tej niebywałą czujność i spryt, a co najważniejsza, ich »spekulowanie« na ziemię nie miało na celu zysków, ale *ziemię*, wydzieranie ziemi z rąk niemieckich, utrzymywanie jej w rękach polskich. Inaczej właściciele niemieccy. Ogłoszoną przez rząd i Ostmarkenverein »krucyatę« uważali oni poprostu za pretekst do robienia dobrych interesów. Jeżeli komisya nie dawała im zaraz za ziemię, której pozbyć się chcieli, wymaganej przez nich ceny, sprzedawali bez wahania majątki ziemskie Polakom, bo ci nie targowali się o warunki. Musiała tedy komisya ów pierwotny plan wykupywania ziemi od Polaków ograniczyć do pilnowania właścicieli niemieckich, do zakupywania ziemi od nich i do osadzania na ziemi tej kolonistów niemieckich. Tu zaczyna się dla polskiej małej własności konkurencya, wielce niebezpieczna. Działy, oddawane kolonistom, zostały już przedtem przez komisyę poddane koniecznym melioracyom. Osadzanie kolonistów (sprzedaż, długoletnia dzierżawa) odbywa się na warunkach, bardzo dla nich dogodnych. Od roku 1887 osadzono w Poznańskiem i Prusach Zach. 90.000 kolonistów niem. wliczając tu i rodziny ich i służbę. Oczywiście, napływ ten obcego żywiołu musi odbić się na walce Polaków o prawo narodowe i walkę tę utrudnić. Oto np. przy wyborach w okręgu miejskim toruńskim Polacy nie zdobyli mandatu jedynie dlatego, że przeważyły liczebnie głosy nowych osadników niemieckich. Komisya dokłada wszelkich starań, by nabywać grunta, w pobliżu miast leżące, i wzmocnić w ten sposób żywioł niemiecki w miastach, a polski wziąć we dwa ognie. Nawet i o tem pomyślano, by koloniści zatrudniali u siebie stale robotników niemieckich. Który z nich dopełnia tego warunku, ten otrzymuje $^1/_2$ procent. premię prez obniżenie stopy procentu od spłaty szacunku

albo czynszu dzierżawnego. Zaś robotnicy, z Niemiec przybyli, po pięcioletnim pobycie u kolonistów, otrzymują jako premię, małe działki ziemi na bardzo dogodnych warunkach.

Nie brak zatem komisyi środków i sposobów, by zgnębić ludność polską ekonomicznie. Rezultatów wielkich jednak do tej pory niema. Przeciwnie, z radością stwierdzić musimy, że »Polnische Wirtschaft« przechodzi do legendy. Jeszcze przed wystąpieniem Ostmarkenvereinu można było zauważyć ciągły postęp na drodze ekonomicznego i umysłowego rozwoju ludności polskiej. Pieniądze, przynoszone rokrocznie (do 57 milionów marek!) przez dzierżawców i składane przez nich prawie w całości w banku polskim, wytwarzają dla komisyi kolonizacyjnej konkurencyę, bardzo skuteczną: ceny ziemi idą w górę!

Na horyzoncie strejku szkolnego cała powódź procesów. Ciekawe nadzwyczaj procesy księży polskich z powodu »przekroczenia paragrafu o ambonie«.

ECHA.

„PROLETARYUSZE WSZYSTKICH KRAJÓW ŁĄCZCIE SIĘ"!

Było ci drogowskazem stękanie pracującego człowieka...
Maurycy Zych.

„Proletaryusze wszystkich krajów łączcie się"! — tem hasłem wzywamy do jedności robotników całego świata. Mówimy im, że treścią ich życia jest walka klasowa, że odgraniczenia narodowe są jedynie wytworem kapitalizmu, przyzwyczajamy ich dzielić świat cały na dwa wrogie obozy: burżuazyi i proletaryatu. I uświadamiając masom głębię ich niedoli, rzucając im obietnicę zwiększenia zarobku — stajemy się partyą dzisiejszego dnia, reprezentującą interesy pewnej kategoryi ludzi.

Lecz tego zamało! Wszak chcemy budować Przyszłość, Przyszłość bezbolesną. i bezklasową. A nowych form tej Przyszłości nie stworzą nagle żadne dekrety o upaństwowieniu, wydane przez najbardziej scentralizowaną dyktaturę. Socyalizm zostanie zbudowany z dołu, wyrośnie z form teraźniejszej kultury, jak kwiat, wyłaniający z pośród stulonych listków łodygi swą kiść w barwach olśniewających. Dwa skrzydła podźwigną masę w swobodny przestwór socyalizmu: rozwój umysłowości i udoskonalenie etyczne. Nieoskrzydlony przez nie, będzie socyalizm jedynie — interesem ekonomicznym, lecz nie odrodzeniem ludzkości.

Więc kultura ma być tym niewzruszonym fundamentem socyalizmu. Lecz kultura nie zna formy międzynarodowej, „w każdym kraju innego ma ducha, który się w inne ciało przyobleka". I wielkie hasło j e d n o ś c i nie jest, nie może być hasłem j e d n o s t a j n o ś c i. Zbyt ciężko nadużywano w dziejach ludzkości pojęcia jedności, zbyt często rozmijało się ono z pojęciem swobody. I nikt już, prócz najciaśniejszych dogmatyków — osłaniających przecudnem hasłem mechaniczny centralizm i zaborczość państwową, nie wytłumaczy tego

hasła inaczej, niż jako jasnej, samorzutnej woli ku solidarności w czynie „nikt nie zechce usprawiedliwić nim drapieżnictwa większych grup, chcących wchłonąć i roztopić w sobie mniejsze, niby dla dobra proletaryatu, któremu materyalizm dziejowy pozwala mieć tylko jedną dążność — ekonomikę, pozostawiając burżuazyi wszystkie inne obszary życia.

. . . . . .

„Proletaryusze"! woła Wielka Prawda, zbierając bojowników dokoła sztandaru.

„Proletaryusze", — kogo nazwę tem imieniem, przeklętem i umiłowanem, kogo nim, jako brata w Idei przywitam?

Wszak proletaryusz — to wyzuty z posiadania pracownik, który ma cudze narzędzie w dłoniach strudzonych — i prócz szmatu odzieży na grzbiecie i lichych sprzętów w mieszkaniu niczego na całym szerokim świecie s w o i m nazwać nie może?

Gdzież są ci, których nadzieja ku nowemu słońcu nieśmiało pogląda? Czy tylko w huczących fabrykach, wśród gehenny pieców i maszyn są pragnący wyzwolenia?

Do których drzwi zapukam, budząc śpiących?

Może zrobię rewizyę w izbie nędzarza, by się przekonać, czy nie ma własnej igły do szycia?

Może biednemu chłopu, sycącemu swoją krwawicą niejednego pająka, rzucę w twarz piętnującą nazwę burżuja za to, że własną bronę posiada?

Czyż pojęcie formalne i zewnętrznie sklasyfikujące ludzi, ma taką hypnozą nas okuć, że na tym fundamencie przyszłość zechcemy budować?

Przed nami olbrzymia masa ludu, ludu cierpiącego i gnębionego. A my chcemy wziąć drobną garstkę — proletaryat przemysłowy i w nim tylko uznać dostojnika Idei.

Chcemy pracować dla jednej ściśle wyeliminowanej z pracującego ogółu klasy. Dla klasy — nie dla zniesienia klas, nie dla socyalizmu?

Socyalizm jest dla wszystkich, którzy cierpią ucisk ekonomiczny. Jeżeli się nie oderwiemy na wołanie olbrzymich mas nędzarzy rolnych i tylu, tylu innych — to może w chwili decydującej staną nam groźną zawadą na drodze.

Dlatego powinniśmy zwracać się do wszystkich pracujących i wyzyskiwanych, przygarnąć pod nasz sztandar nietylko robotników miejskich, lecz i rzemieślników, i małorolnych włościan.

Niechże ciasne dotąd pojęcie „proletaryatu" rozszerzy się na cały pracujący lud! A ludem — jak mówi Mickiewicz, jest każdy, kto cierpi...

Im silniej rozpłomieni się walka, tem wyraźniej wyłoni się z mroków dogmatyzmu i nieuświadomienia „ta otchłań, która ludzi dzieli na ciemiężonych i ciemiężycieli".

ODA DO WOLNOŚCI.

Taki się u nas przyjął zwyczaj, że, jeżeli wśród ogólnej szarzyzny uda się komu, lub wyda się komu, że mu się udało wykonać bardziej nieprzeciętny gest, to będzie go powtarzał wedle znanej recepty: „Chodziła czapla po wysokiej desce". W świętym oburzeniu „Mistrz" przeklął całe pokolenie: marni, nędzni, cuchnący, i t. d. I odtąd co jakiś czas jedyna prawa wśród całego

oceanu nieprawości „Prawda“ pomieszcza nowe objawienie na starą nutę. Ostatniem z tych przemówień, streszczającem poprzednie, a nic nowego do nich nie dodającem jest Oda do wolności. A więc: „Czciliśmy was wtedy, kiedyśmy Was nie znali, a kiedy frazes, rzucony co parę miesięcy, wystarczał aby wmówić w siebie i innych, że przy Was stoimy. Czciliśmy Was, kiedy można się było okupić jaką składką lub dobrem słowem. Czciliśmy Was, kiedyście zajęci podziemną robotą niczego od nas nie żądali; kiedyśmy swą duchową łączność z Wami zaznaczali przez ofiarowanie trochę starej bielizny i parę znoszonego obuwia Wam, gdy Was na dożywotnią katorgę wysyłano. Czciliśmy Was, kiedyśmy Was nie znali, kiedy cisza nie mąciła harmonii linii. O, wtedy nawet zapraszaliśmy Was do pism naszych, boście byli — najzdolniejsi i wierzenia Wasze poczęły się stawać siłą. O — wtedy nietylko nie rozwiewaliśmy ułudy czytających, że pismo nasze jest organem dążeń Waszych, lecz to twierdziliśmy sami. Lata płynęły, pokolenia całe marły z głodu, marły od zatrucia w tkalniach, hutach i kopalniach. Wyście pracą swoją pozwalali nam — nic na polu społecznem nie robić i tylko z powagą potakiwać Waszej pracy. Wtedy byliście piękni, bo — noc Was kryła. Przyszły promienie słońca, i oto zobaczyliśmy, że ciało Wasze strupami jest pokryte. Dziś harmonia prysnęła. Piękny kontur się skrzywił. Dziś, kiedy żądacie, aby każdy, kto mówił lub szeptał wielkie słowo: jestem socyalistą, stwierdził czynem swe mówienie, kiedyście wyszli z podziemi i wołacie: nie damy się z powrotem wtłoczyć w podziemia, i życie nowe sami poczynamy stwarzać, dziś kiedy od bólu, męki i cierpienia ziemia nasza zajęczała, i bunt jako prąd nowy nią wstrząsa, dziś, ponieważ najwięcej cierpicie, najwięcej mrzecie, ponieważ Wy jedni macie walczyć, a nie czołgać się, przeto wy jesteście winowajcami. — Bo dopókiście pocichu umierali, to było wygodnie i łatwo, a kiedy teraz umieracie na szubienicy, to znaczy, że wszelkie te łotrowstwa — to Wasze dzieło. Ohyda dzisiejsza to nie dzieło caratu, nie dzieło wyzysku i sybarytyzmu tych, co z założonemi rękoma powtarzają: „niech się dzieje — ewolucya“, lecz dzieło Wasze, Wy jedni odpowiadacie za bandytyzm, kradzieże i t. d. Wy nawet jesteście jego sprawcami. Wolność gwałcicie, bo nie chcecie być niewolnikami. „Tak, Mistrzu: jesteśmy brudni i ciało nasze strupy pokrywają. Na rękach naszych zakrzepła krew konających towarzyszy naszych. My nawet tych biednych nędzarzy, których ciemnota hodowała, a głód i zepsucie Wasze kształciły i uczyły zbrodni, my ich wieszać ani rozstrzeliwać nie będziemy. Bo inni zbrodniarze są winni temu, co się dzieje. My pięknych gestów i kunsztownych póz przyjmować nie będziemy. Dla nas socyalizm to nie ładnie napisany artykuł, a żywa zgroza życia, które tysiącznemi powikłaniami woła o niezbędności walki na życie i śmierć, życie nie jest bladą myślą, a męką porodu, męką tworzenia. Bierzemy nazwę nędzarzy i przeklinaczom mówimy: kto ogłuchł i oślepł w niewoli, ten nie może ujrzeć piękna, które my ziszczemy. Krwawe to piękno i w okropności tworzone, lecz Wyście swą apatyą tę okropność podwoili. Nędzę obecną wytworzyła teraźniejszość, a usunąć ją może tylko przyszłość, będąca przeczeniem — Waszej teraźniejszości! Piękno nasze — to nasz entuzyazm bólu i wiary. Piękno nasze — to wołanie dusz tysięcy, więzionych, zsyłanych, katowanych, mordowanych: „Nie damy się“. Piękno nasze — to nie martwe posągi, a żywy ludzki ból i żywa ludzka wola. Kto nie widzi go, kto czytać nie umie w sercu ludzkiem, ten w walce dzisiejszej zawsze widzieć będzie tylko ohydę i brzydotę. Bo tylko ten, kto

umie cierpieć z tymi tysiącami, i umie razem z niemi wierzyć, ten tylko może ujrzeć nowe — żywe — młode nieśmiertelnością swoją piękno — piękno Buntu, piękno walki Ludu o przyszłość. *A. St.*

KOMEDYA SOLIDARNOŚCI NARODOWEJ.

„Solidarność narodowa" była do pewnego czasu w oczach naszej reakcyi fetyszem, którego nie wolno było krytykować. Wszelkie zamachy na solidarność ze strony prasy postępowej kwalifikowane były, jako czyn w najwyższym stopniu zbrodniczy, jako odstępstwo, a nawet zdrada narodowa. Hasło to, ukute w kuźni nacyonalistycznej, do tego stopnia oślepiło niewyrobiony politycznie ogół społeczeństwa, iż n. d-cya zrobiła z niego drabinę, po której pięła się coraz wyżej i wyżej, aż stanęła na szczeblu ostatnim: „jedynej reprezentantki narodu". W imię tej solidarności leaderzy stronnictwa wciągnęli do swoich machinacyj wyborczych frakcyę, reprezentowaną przez p. Konica i t. zw. realistów. „Słowo" zawsze kruszyło kopię w obronie solidarności, a na jej wędkę dał się wziąć nawet taki wyga ugodowy, jak p. Ludwik Straszewicz.

I wszystko było pięknie.

Pod płaszczykiem solidarności n. d-cya obiecała swoim sprzymierzeńcom kilka mandatów, a sprzymierzeńcy podpisali cyrograf, na którym n. d-ci wypisali: „solidarność — to my".

Aliści n. d-ci opatrzyli się prędko, a uznawszy, że koncentracya dostatecznie już zbałamuciła ogół, a więc cel swój osiągnęła, zamiast mandatów pokazali swoim sprzymierzeńcom... figę. Tego już było nawet dla realistów za dużo! „Słowo" warszawskie zbuntowało się i zażądało sprawiedliwości. Ale ten czyn buntowniczy do tego stopnia oburzył „Gazetę Polską", iż cisnęła w twarz sprzymierzeńcom najstraszniejszy ze swoich pocisków papierowych: „Anty-Polacy"!

Nieszczęsne, „Słowo" rozdarło swe szaty i przypomniało n. d-tom, że nawet p. Dmowski uznał realistów za stronnictwo narodowe, ba! głosił w „Dzwonie Polskim", że „podawanie realistów za stronnictwo nienarodowe jest to krzywda" im wyrządzana.

Wszczęła się burza, ale nie trzeba brać jej seryo. „Słowo" warszawskie niejednokrotnie już oddawało realistów pod komendę n. d-cyi, stwierdzając zresztą, że ta ostatnia walczy nieuczciwością lub perfidyą, albo kreując n. d-tów na obraz i podobieństwo czarnych secin w Rosyi na „prawdziwych polskich ludzi". Nie przeszkadzało to „Słowu" nigdy podpisywać się pod solidarnością, głoszoną przez „prawdziwych Polaków". I teraz niepotrzebnie krzyk podnieśli, bo cała rzecz sprowadza się do ilości mandatów.

Po co tyle hałasu?

N. d-cya nie jest przecież bez serca, nie skrzywdzi „realistów": jeden, lub dwa mandaty więcej i... „Słowo" się uspokoi, a komedya solidarności narodowej, przerywana od czasu do czasu melodramatycznymi okrzykami, w rodzaju „antypolacy", „prawdziwi Polacy" grać się będzie dalej... I znowu każdy głos, krytykujący tę solidarność, ogłoszony będzie za zdradę narodową... „Niech się komedya gra"! *Z-Ski.*

KONSTYTUCYA ROSYJSKA W CYFRACH.

Według informacyj gazet petersburskich, trzeba dodać, informacyj, czerpanych zwykle ze źródeł urzędowych, a więc informacyj bardzo tendencyjnych

sądy wojenne okręgowe i wojenne polowe skazały w r. z. na karę śmierci 1.252 osoby, z tej liczby stracono 934 osoby t. j. 74·6 proc. Na ciężkie roboty w katordze skazano 2.020 osób, z tej liczby na katorgę bezterminową 274 terminową — 1.755. Ogółem 2.029 osób, na 17.375 lat. Na zesłanie na osiedlenie na Syberyę skazano 186 osób. Skazano na uwięzienie — w więzieniach 2.339 osób na 1.962 lata w oddzielnych aresztach — 1.877 osób na 2.574 w bat. dyscypl. 1.153 osoby na 2.329 lat, w twierdzy 576 osób na 693 lata. Ogółem 5.945 osób na 7.563 lata. Razem w sprawach politycznych skazano 9.411 osób. Prócz tego pociągnięto do odpowiedzialności sądowej 722 redaktorów wydawnictw peryodycznych. Zawieszono i zamknięto z wyroków sądowych lub sposobem administracyjnym 563 gazety.

Liczba zabitych nie licząc straconych na mocy wyroków sądowych wynosi w r. z. 1.200 osób, ranionych 1,640.

W tej liczbie zabito 75 generałów, generał-gubernatorów i naczelników miast, 410 zabitych i 453 ranionych z policyi i wojska, — 90 nieudanych zamachów.

Wojsko i policya zabiły 416 osób, raniły 335.

Liczba ofiar wypadkowych przy zamachach i starciach 200 zabitych i 350 ranionych.

W roku zeszłym policya wykryła 1.110 bomb, około 10 granatów. Wybuchło 210 bomb. Policya odebrała 112 pudów prochu, około 10 pud. pyroksyliny, około 260.000 nabojów karabinowych, około 1.500 karabinów, tyleż rewolwerów. Składów broni wykryto 32, laboratoryów, gdzie wyrabiano bomby, 21, drukarni tajnych — 110.

Wysłanych w drodze administracyjnej określają na 35.000, liczba aresztowanych nie wiadoma. W kwietniu r. z. obliczano aresztowanych na 72.000.

Po rozwiązaniu dumy areszty zwiększyły się; w lipcu tylko w cytadeli warszawskiej było 8.895.

W styczniu r. z. w kraju Nadbałtyckim stracono około 400 ludzi, nie licząc rannych i zabitych podczas starć z oddziałami karnemi.

SPRAWOZDANIA.

BOLESŁAW LIMANOWSKI. „Naród i państwo. Studyum socyologiczne. Kraków 1906.“ — Nakład Tow. Wydawn. Ludowych.

Za wątek i za tło do powyższego studyum, którego zadaniem ma być wykazanie stosunku, jaki zachodzi między państwem a narodem, posłużyły autorowi dzieje Francyi w ich kilkunastowiekowej ciągłości. I rzeczywiście Francya jak może niewiele krajów w Europie mogła dostarczyć dla tego rodzaju badań i zestawień ogromnej masy bogatego materyału, na przykładach bowiem, w które obfituje jej historya, możemy widzieć „jak się wytwarzają narody, jak się buduje państwo, jak naród przychodzi do samowiedzy, do zrozumienia, czem powinien on być w państwie, jak się należy w tym celu przeobrażać, przebudować je“ i tam wreszcie mamy pierwsze próby, pierwsze usiłowania „budowy nowego, najkorzystniejszego dla wszystkich porządku“. Nadto, będąc dziś jeszcze niejednolitą etnicznie, przedstawia Francya zarówno dla socyologów, jak dla polityków

i historyków tę jeszcze wielką korzyść, że odsłania, uwypukla niejako całą olbrzymią szkodę, jaką wyrządza kulturze ogólno-europejskiej doprowadzona do absurdu centralizacya i pierwsze jej przyczynowe źródło — polityka podbojowa.

Przeciwieństwa interesów narodowych i państwowych dawały się we Francyi dotkliwie i niejednokrotnie odczuwać. W imię interesów państwowych, w imię jedności francuskiej, pogwałcono tam prawa prowansalczyków wtedy, kiedy zlanie się dwóch narodów mogło się raczej odbyć na drodze spokojnej, w zgodny sposób. Nie ta *raison d'état*, którą podniesiono przeciw Południu, lecz inna, wyższa, szlachetniejsza powinna była odegrać swoją rolę w tym procesie. „Jedność polityczna — powiada autor — prawdopodobnie dokonałaby się w ten lub inny sposób, ponieważ prowadziła ku niemu sama konfiguracya geograficzna kraju, lecz nadewszystko skłaniał ku niej ten podkład galsko-rzymski, z którego wyrastały oba narody. Jedność polityczna, któraby się dokonała na drodze federacyjnej, nie zaś podbojowej, byłaby korzystniejszą dla obu narodów" odrodzenie kulturalne Południa francuskiego, dopiero teraz się zaczyna, bo teraz dopiero dzięki postępującej, coraz naprzód demokratyzacyi państwa wzięto się tam do pracy, przekonano się o konieczności pielęgnowania lokalnej kultury, lokalnych właściwości.

Taki pogląd na prawa narodów, na ich stosunek do państwa, musiał też między innemi znaleźć swoje ujście w kilku sądach słusznych i szlachetnych o stronnictwach politycznych z okresu Wielkiej Rewolucyi. Dla montaniarów, dla ich olbrzymiej energii, która im pozwoliła ocalić niepodległość narodową i państwową i zasłużyć się nietylko Francyi ale i całej Europie, autor ma ogromny szacunek i z głęboką wyrozumiałością odnosi się do środków, którymi się ci posługiwali, ale sympatye jego są po stronie żyrondystów, których zasadniczą cechą, abstrahując naturalnie ich moderantyzm rewolucyjny, była decentralizacya i szeroko pojęty federalizm, nie wykluczający bynajmniej jedności francuskiej.

Ideałem czcigodnego nestora polskiego socyalizmu jest właśnie przeniesienie na grunt ogólno-europejski takiej powszechnej federacyi narodowości, jaką na małą skalę, w granicach samej Francyi, zamierzali w życie wprowadzić żyrondyści francuscy. Ostro występuje on przeciwko utożsamianiu nietylko przez historyków i polityków, ale i przez socyologów dwóch wręcz sobie przeciwnych w dzisiejszych czasach pojęć i terminów socyologicznych, jak naród i państwo. Naród, powiada, jest to społeczność żyjąca, organiczna; państwo zaś jest to przedewszystkiem ujęta w granice przestrzeni ziemi z jej dworami i ludnością na niej zamieszkałą, a następnie wszelkiego rodzaju urządzenia (instytucye), służące do władania i gospodarowania na niej." „Naród — dodaje dalej — może istnieć i rozwijać się nawet, pozbawiony własnego państwa, również możliwem jest istnienie państwa i narodu. Przykładem z jednej strony — naród polski, a z drugiej zaś — Kongo belgijskie.

Urzeczywistnienie swego ideału — wolnej federacyi wolnych ludów Europy, osiągnięcie tożsamości państw z narodami zamkniętymi w ich granicach autor widzi naturalnie na drodze socyalizmu. Na przesłankach socyalistycznych buduje on gmach swej przyszłej Federacyi europejskiej, swej „Rzeszy stanów europejskich", do których dzisiaj już z konieczności wiedzie droga poprzez powszechne głosowanie i coraz dalej sięgającą demokratyzacyę społeczeństw. *M. S.*

WARUNKI PRENUMERATY:

	w Austryi		za granicą:		
Kwartalnie	kor. 3·50	mk. 3·50	fr. 4·50	dol. 1·—
Nr pojedyńczy	„ —·60	„ —·60	„ —·80	„ —·20

W Królestwie Polskiem i w Rosyi kwart. 2 rb., numer pojedyńczy 35 kop.

Numer pojedynczy na dworcach kolejowych 70 hal.

Składy główne: w Krakowie: **Agencya dzienników Hopcasa i Salomonowej, Sławkowska 2,** we Lwowie: **u Sokołowskiego, pasaż Hausmana.**

„KRYTYKA“

miesięcznik, poświęcony sprawom społecznym, nauce i sztuce, wychodzi rok VIII w Krakowie.

Redaktor i wydawca: Wilhelm Feldman.

„KRYTYKA“, stojąc na stanowisku narodowem, pielęgnuje ideały ogólnoludzkie. Urzeczywistnienie ich widzi w wyzwoleniu narodu, klasy pracującej i jednostki przez radykalne przeobrażenia społeczne i polityczne, tudzież przez opieranie życia jednostkowego i zbiorowego na głębokiej podstawie kultury etycznej i estetycznej — zaznajamia więc ogół z najnowszymi prądami na tych polach i z szczególniejszą uwagą śledzi ruch nowej tak zwanej modernistycznej literatury i sztuki polskiej.

W roku 1906 drukowała „Krytyka“ między innemi: nowelę W. Sieroszewskiego („Przepowiednia Wernyhory“), Stefana Żeromskiego („Zemsta jest moją“), B. Gorczyńskiego, K. Zdziechowskiego, A. Struga; dramaty: Stan. Przybyszewskiego („Śluby“), Micińskiego („Kniaź Patiomkin“); poezye: Jedlicza, Staffa, Kasprowicza, Leszczyńskiego, Orkana, Ostrowskiej. Z rozpraw politycznych i kulturalnych: prof. I. Radlińskiego: „Wolna myśl“, I. Moszczeńskiej: „Podwójna moralność“, prof. I. Baudouina de Courtenaya: „Ze zjazdu autonomistów, czyli przedstawicieli narodowości nierosyjskich w Petersburgu“, „Tępość moralna społeczeństwa rosyjskiego; Wasilewskiego: „Z dziejów ruchu rewolucyjnego polskiego a rosyjskiego“; dra Wł. Gumplowicza: „Socyalizm a kwestya polska“, R. Minkiewicza: „O pełni życia i o komunie duchowej“, szereg artykułów aktualnych: W. Feldmana. Z literatury: Ortwina: „Konstrukcya dramatu Wyspiańskiego; dra W. Moraczewskiego: „Współczesna literatura francuska“. A. Śliwińskiego: „Społeczne poglądy Mickiewicza“, J. Stena: „Poezya rewolucyi“, Slaza: „Rewolucya a sztuka“; W. Feldmana: „O Orzeszkowej“, T. Dąbrowskiego: „O Samuelu Zborowskim Słowackiego“, Nowaczyńskiego: „O dramacie historycznym“, Śliwińskiego: O najnowszych powieściach i nowelach“ i t. p. Nadto drukowała się międzynarodowa ankieta w sprawie polskiej, w której głos zabierali znakomici uczeni i politycy Niemiec i Francyi, Rosyi, Włoch, Rusi, Anglii. Dział „Przegląd prasy“ i „Sprawozdanie naukowe i literackie“ zaznajamiał z najważniejszemi zjawiskami w prasie polskiej i obcej, tudzież z ważniejszemi nowościami księgarskiemi.

Prenumerata wynosi w Austryi: rocznie 12 kor. Dla Królestwa i Cesarstwa: rocznie rb. 7·60, półrocznie rb. 3·80, kwartalnie rb. 1·90.

Adres wydawnictwa: **Kraków, ul. Stachowskiego 14.**

Redaktor i wydawca odpowiedzialny: T. Bobrowski. Z Drukarni Narodowej w Krakowie.

PRZEGLĄD SPOŁECZNY

Tygodnik polityczno-społeczny, naukowy i literacki.

W dziedzinie politycznej **„Przegląd“** reprezentuje idee wolnościowe, demokratyzacyi form państwowych, pełnych swobód obywatelskich, samorządu narodowego.

W dziedzinie społecznej i ekonomicznej **„Przegląd“** wyraża dążenia i interesy klasy robotniczej, o ile urzeczywistniają się one w samoistnej politycznej i zawodowej organizacyi na podstawie walki klasowej.

W zakresie literatury i nauki **„Przegląd“** jest wyrazem wolnej myśli i niezależnego badania.

„Przegląd“ zamieszcza artykuły wstępne, feljetony, glossy, oświetlające aktualne sprawy naszego życia politycznego i społecznego. Daje charakterystyki i historyczne zarysy programów i stronnictw w stosunku ich do interesów proletaryatu. Zamieszcza prace teoretyczne i zasadnicze, rozwijające światopogląd „materyalistycznego pojmowania dziejów“. Śledzi rozwój myśli, ruchu i organizacyj robotniczych we wszelkich ich przejawach, a mianowicie: w dziale sprawozdań literackich, w przeglądach prasy krajowej i zagranicznej, w obszernej Kronice Ruchu społecznego, w zakresie: Polityki, Strejków, Ruchu zawodowego i spółdzielczego, partyj w różnych krajach, walki z klerykalizmem, oświaty.

W r. 1906 między innemi pomieszczone były następujące prace: **St. Brzozowskiego:** O teoryi wartości Marxa. Nasze polityczne manifesty. Proletaryat i Duma. Stronnictwo polskiej krzywdy i narodowej hańby. Senzacye w socyalizmie (z powodu listu Shawa). Widma moich współczesnych. **Caspari:** Związki zawodowe w Niemczech. **J. Wł. Dawid:** Narodowi, postępowi i ci trzeci. Realiści i Narodowi Demokraci. Teror partyjny. Wybory i sojusze. **L. Choromański:** Służąca. **M. Aleksandrowicz:** Ruch robotniczy w Anglii. **W. Gawecki:** Strejk masowy w Austryi. **Wł. Kobylański:** Ruch strejkowy we Włoszech. Znaczenie bezrobocia w ruchu robotniczym. **J. Korczak:** Feralny tydzień. **L. Kulczycki:** Anarchizm we współczesnym ruchu społ.-polit. w Rosyi. O Narodowej Demokracyi. **S. Lichtenstein:** Położenie klasy robotniczej w Ameryce. **B. Hertz:** O Samorządzie. **St. Krauz:** Sprawiedliwość klasowa. **Dr. Z. Daszyńska-Golińska:** O zjeździe ekonomistów. **T. Rechniewski:** Perspektywy przedwyborcze. **M. Römer:** Ustawodawstwo robotnicze a autonomia. **H. Rygier:** Reforma rolna. **M. Szarota:** Papież a kościół we Francyi. **W. Wróblewski:** Długość dnia roboczego. **K. Zalewski:** Kwestya rolna w programach partyj rosyjskich a ruch wolnościowy. **Wł. Nałkowski:** Z powodu swojskiego pogromu. W kwestyi autonomii Król. Polsk. (szereg artykułów dyskusyjnych p. K. Zalewskiego, L. Kulczyckiego, T. Rechniewskiego, K. Frecha). Sprawozdania z Kongresów socyalistycznych w Mannheimie, Rzymie i Limoges. Z przekładów: **K. Kautsky:** Etyka a materyalistyczne pojmowanie dziejów. **A. Pankoek:** W państwie przeszłości. **A. France:** Nowy rok etc. Od października **„Przegląd“** drukuje słynną powieść U. Sinclaira p. t. **Trzęsawisko** (The Jungle) w przekładzie A. Brzozowskiej. W utworze tym autor, kreśląc dzieje rodziny emigrantów polskich, przedstawia nędzę życia robotniczego, odsłania mechanizm i zbrodnie współczesnego kapitalizmu, budzenie się i rozwój idei socyalistycznej.

Nowi Prenumeratorzy, którzy opłacą pismo najmniej za pół roku, otrzymają gratis początek **Trzęsawiska.**

Prenumerata „Przeglądu Społecznego“ w Warszawie miesięcznie kop. 65, kwartalnie rb. 1·90. W Galicyi kwartalnie kor. 5.

Adres: **Warszawa, Wiejska 15, telefonu Nr. 193-92.**

W Krakowie: Biuro Hopcasa i Salomonowej, Sławkowska 2.

Wydawnictwa „Przegl.“ do nabycia w Administracyi i we wszystkich księgarniach.

K. Kautsky: Etyka i materyalistyczne pojmowanie dziejów. Cena 50 kop. **A. Pankoek:** W państwie przyszłości. Cena 25 kop. **L. Kulczycki:** Anarchizm we współczesnym ruchu społeczno-politycznym w Rosyi. Cena 40 kop. **K. Zalewski:** Kwestya rolna w programach partyj rosyjskich a ruch wolnościowy w Rosyi. Cena 25 kop. **L. Kulczycki:** Narodowa Demokr. Cena 25 kop. Prócz tego do nabycia za pośrednictwem Administracyi „Przeglądu“: **F. Paulsen:** Kant i jego nauka. Cena 2 rb. **J. Sully:** Dusza dziecka. Cena 2 rb. **K. Höffding:** Zasady Etyki. Cena 25 kop. **F. Lassalle:** Program robotniczy. Cena 15 kop. **J. Wł. Dawid:** Zasób umysłowy dziecka. Cena 50 kop. **Ribot:** O wyobraźni twórczej. Cena 25 kop. **Ferrero:** Czynniki postępu. Cena 15 kop. **Gide i Belot:** Miłosierdzie, sprawiedliwość i dobór naturalny. Cena 15 kop. **Wojciech Kłos:** Historya pożytecznego człowieka. Przez J. Szczawińską. Cena 10 kop.

w Lublinie
czyt. 3690
CZASOPISM

„ŻYCIE"

Wydawnictwo dzieł społeczno-politycznych.

□ □ □ □

Dotychczas wyszły:

T. I: K. Krauz. (Michał Luśnia). »Wybór pism politycznych«. 3 K.

T. II: A. Judym. »W kwestyi haseł programowych i taktyki«. 50 h.

T. III: Res. »Koordynacya czy utożsamienie?«. 50 h.

T. IV: A. Wroński. »Zadania ruchu rewolucyjnego w zaborze rosyjskim w chwili obecnej«. 50 h.

T. V: Dr. Helena Landau. »Polityka Związków Zawodowych«. 1 K.

T. VI: Res. »Kwestya polska w oświetleniu »Socyaldemokracyi polskiej«. 1 K.

T. VII: I. Daszyński. »Polityka proletaryatu«. 2 K.

T. VIII: A. Humnicki. »Wspomnienia z lat 1888-1892« 40 h.

T. IX: St. Os...arz. »Narodowa Demokracya a ruch rewolucyjny w zaborze rosyjskim« 80 h.

T. X: L. Janowicz. »Zarys rozwoju przemysłu w Król. Polskiem«. 80 h.

T. XI: »Materyały do historyi P. P. S. i ruchu rewolucyjnego w zaborze rosyjskim« 6 kor.

Dalsze tomy pod prasą.

Biblioteczka popularna „Życia".

Książeczka I.: Tytus Filipowicz. »Czy robotnikowi potrzebną jest Konstytuanta w Warszawie?« 30 h.